№ 13. Warszawa, dnia 28 (16) Marca 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERCAKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

PROBIERZ LIBERALIZMU.

Gdyby liberalizm polityczno-społeczny istniał na świecie tylko w formie niemieckiej, najzapaleńsi a uczciwi jego zwolennicy z pewnością wyrzekliby się tego imienia. Trzeba śledzić uważnie i ciągle obrady sejmowe w Niemczech i Austryi, trzeba czytywać gazety, ażeby zrozumieć, ile potworności moralnych i dążeń wstecznych kryje się pod tą błyszczącą skorupą. Liberalizmem nazywa się tam nietolerancya religijna, liberalizmem — tępienie słabszych narodów, liberalizmem — wyzysk pracy, liberalizmem — obciążanie podatkami najuboższych — słowem cały gładki a nieubłagany rozbój w stosunkach politycznych, religijnych i ekonomicznych pokrywa się tem mianem.

Do ostatecznych granic zuchwalstwa i bezczelności doszli liberałowie austryaccy. W imię wyższych niby to zasad, których poniewierkę dopatrują nawet tam, gdzieby tryumf widzieć powinni, drą się oni do władzy, nie gardząc żadnym środkiem, żadnem kłamstwem, żadną awanturą. Wszystko, czego oni chcą, jest postępem, swobodą, oświatą, chociażby było wstecznością, uciskiem i ciemnotą. Każdej chwili gotowi zdeptać najsłuszniejsze prawa całych narodów w imię — wolności, którą pojmują jako nieograniczoną samowolę żywiołu niemieckiego, bez względu na jego liczebny i cywilizacyjny stosunek do innych. Małe prosię germańskie chce być Molochem i pochłaniać w sobie bawoły i jelenie Słowiańszczyzny.

Prawica ma w Radzie państwa kilku przedstawicieli, którzy umieją poskramiać zuchwalstwo tej liberalnej obłudy; ale nikt jej nie umie tak smagać szyderstwem i talentem polemicznym, jak człowiek, który przekonaniami ciąży dotąd ku liberalizmowi, ale zbrzydziwszy go sobie w postaci niemieckiej, woli stać po stronie przeciwnej, jak — Hausner. Jego ostatnia mowa przeciwko tej bandzie jest arcydziełem satyry parlamentarnej. Zręczną i mocną ręką zdarł on maskę z przewrotnego liberalizmu austryackiego i ukazał cały szereg szpetnych twarzy. Pomijamy inne i przedstawimy jedną tylko w sprawie, która czytelników naszych bliżej zajmie— w sprawie regulacyi rzek galicyjskich.

„Poseł Suess powiedział: Oczekuję po moralnym zmyśle Izby poselskiej, iż ustawa o regulacyi rzek galicyjskich będzie odrzucona. Toż to jest zmysł moralny? — pyta Hausner. Przypatrzmy się, jak ta rzecz stoi. W roku 1882 spada wielka katastrofa, niszcząca powódź na Tyrol i Karyntyę; szkody są wielkie; powszechnie uznają, iż przyszłe niebezpieczeństwa za wszelką cenę usunąć należy. Zbiera się sejm tyrolski, zezwala na wydatki, na jakie tylko kraj się zdobyć może, a o te, którym kraj nie podoła, zwraca się do państwa. Projekt wchodzi do Izby i zostaje przyjęty bez słowa opozycyi. Chodziło tam o 7½ miliona dla Tyrolu. We dwa lata potem spada podobna katastrofa na Galicyę. Według rządowych obliczeń wynoszą straty 13½ miliona złr. Sejm galicyjski czyni to samo, co tyrolski. Ale wiedząc dobrze, jak wszelka pomoc dla Galicyi natrafia na zaciętą w Radzie państwa opozycyę, stara się usilnie w każdym szczególe, w każdym punkcie trzymać się sposobu obliczenia i rozkładu, przyjętego w ustawie tyrolskiej, a stosunek kwoty, dostarczanej przez kraj, do kwoty skarbu państwa oznaczyć ściśle według tego wzoru. Projekt ten dostaje się do rządu. Rząd zmienia go na szkodę skarbu krajowego, na korzyść skarbu państwa, i tak sprawa ta wchodzi do Izby. W tej chwili podnoszą się najzapamiętalsze głosy: Odrzucić! Żadnych prezentów dla Galicyi!

Jeżeli projekt ten będzie przyjęty, uwolnimy 500 mil. kwadr.— o ile ludzkie przypuszczenia nie zawodzą — od corocznie podnoszącego się groźnego niebezpieczeństwa; setki tysięcy hektarów będą oddane uprawie; setki tysięcy rodzin odzyskają warunki bytu, w setkach świątyń będą wznosić się jak w Tyrolu modły za państwo, które daje ratunek i za Izbę poselską, która nań przyzwala (*brawo z prawicy*).

I dlaczegóż ma Izba projekt ten odrzucić? Wszak sposób rozkładu wydatku między kraj a państwo jest tu korzystniejszy, niż w Tyrolu; wysokość kosztów zarówno w stosunku do obszaru dotkniętych okolic, do liczby ludności i do opłacanego podatku mniejsza — dlaczegóż więc Izba ma odrzucić? Czy dlatego może, że tam dotknęła klęska niemców i włochów, tutaj polaków i rusinów? Ależ to by był właśnie motyw niemoralny (*brawa z prawicy*)—a jeżeliby Izba poselska z tego powodu odrzuciła projekt, okazałaby nie zmysł moralny, ale moralny upadek (*żywe oklaski z prawicy—sykania z lewicy*). A wrażenie, jakie sprawia wezwanie, aby projekt taki odrzucić, zanim pełna Izba go ma przed sobą i przedmiotowo zbadać go może — jest moralnem oburzeniem, i pod tem wrażeniem moralnego oburzenia opuszczam posła Suessa (*oklaski z prawicy*)".

Na tym jednym fakcie uwidocznia się cała niegodziwość etyki liberałów niemieckich, całe upośledzenie krajów słowiańskich w Austryi, mimo że ona pozornie równouprawniła narodowości. Gdy powódź nawiedziła Tyrol, rząd nie wahał się z pomocą; ale gdy nawiedziła Galicyę—obcina żądania, a jednocześnie liberałowie wołają, ażeby je całkiem odrzucić. Wystawmy sobie, że klęska spadła na prowincye czysto niemieckie i że polacy w Radzie państwa oświadczyli się przeciw regulacyi ich rzek—jakżeby zaryczała lewica oburzeniem, jakie by to skargi i oburzenia roznosił telegraf po Europie, jakim to chórem wtórowanoby im nad Sprea, Elbą i Renem! A tymczasem odmówić zapomogi Galicyi, pozostawić ją na pastwę niszczącego wylewu wód — to jest ludzkie, sprawiedliwe, liberalne! Zaiste był to doskonały probierz tego ohydnego liberalizmu, który zmusza wszystkich ludzi prawych do wychrzczenia się od wspólnej z nim wiary i nazwy. Im gorzej—tem lepiej: im bardziej centraliści austryaccy poniewierają najświętsze prawa moralne, tem większy budzą wstręt, tem więcej oddalają się od cel swych pragnień — od władzy. Musiałaby istotnie Austrya do szpiku przegnić, gdyby im kiedykolwiek powierzyła swe rządy.

PIERWSZY SOCYOLOG POLSKI.

II.

Tak więc Sup. określa pierwsze prawo ogólne, rządzące i światem i człowiekiem, naturą całą i społeczeństwem; jest to w istocie pierwsze zasadnicze prawo socyologiczne.

„Życie to ruch; ruch to przemiany. Przeobrażenia są życia cechą; życie bez przeobrażeń jest Bogiem *lub* niczem." W tem miejscu musimy uczynić uwagę co do dykcyi Supińskiego, biorąc wyraz ten w szerszem znaczeniu.

Jakkolwiek widzieliśmy że autor protestuje przeciw wszelkim argumentom i rozumowaniom *a priori*: używa on go jednak bardzo często. Przeważyło w nim oczywiście wychowanie religijne, z pod wpływu którego nie zdołał się wyswobodzić. Oceniając zatem filozofa i socyologa Supińskiego, musimy abstrahować zupełnie od tych przymieszek religijnych, będących w sprzeczności z jego rozumowaniami i mącących na każdym kroku sferę czysto naukową. Pod tym względem „Szkoła gospodarstwa polskiego" wyżej stoi, niż „Fizyologia wszechświata." Bo tam autor nasz jest osobistością jednolitą; tam, trzeźwy umysł, wzbogacony doświadczeniem i nauką, traktuje o sprawach ziemskich, nie mięszając do nich rzeczy ani argumentów teologicznych; tutaj, przeciwnie, występują dwie osoby: myśliciel, którego umysł głęboki, podniecony ideami socyologicznemi zachodu, stara się filozoficzną myślą zgłębić wszechświat, obok niego zaś— szlachcic starej daty.

Sformułowawszy tedy pierwsze i najwyższe, czy też najogólniejsze prawo wszechświata, jakim jest *ruch*, Sup. przystępuje do dalszego rozbioru tego prawa, do analizy ruchu. Czyni to w sposób zręczny. „Wszystko, co jest — powiada on — pod dwojakim pojawia się względem: każda pojedyncza istota, każde ciało, każdy nawet pomysł człowieka jest raz *całością* samą w sobie, raz *częścią* dalszej, rozleglejszej całości." Z tego spostrzeżenia wyprowadza on wniosek że „musi być pewny *popęd* i pewna *zasada* istnienia dla *części*, bo te nie istniałyby odrębnie; musi być druga dla *całości*, bo ta rozsypaćby się musiała." Tym dwojakim *popędem*, tą dwojaką zasadą jest *dwojaki ruch*, („...dwojakie istnienie, powiada S. każe wierzyć w dwojaki ruch") odpowiadający istnieniu całości i części. S. nie waha się przyjąć na podstawie tego wniosku, (który atoli jest tylko domysłem) dalsze prawo ogólne o *dwojakim ruchu*: „Prawem odwiecznem przeto, powszechnem i niezmiennem jest *organizm jeden i wspólny* w przyrodzie całej, opierający się na dwoistym ruchu: części i całości; to jest na siłach pojedynczych i na sile powszechnej; organizm, utrzymujący całość częściami, karmiący części całością; a to bez względu, czy te części i ta całość są ciałami świata pierwotnego, czy wyrobem ludzkiej myśli. Mówię bez względu, bo świat zwany umysłowym nie ma oddzielnego istnienia a zatem i praw oddzielnych. Prawa świata fizycznego powtórzyć się muszą w umysłowym świecie, istniejącym tylko w pojęciu człowieka" (62).

Sposób, w jaki S. z samego faktu ruchu, przyjętego przezeń jako najpowszechniejsze prawo świata, wyprowadza dalsze prawo dwoistego ruchu, które mu znowu ma służyć za główną podstawę całego jego systemu, nazwaliśmy zręcznym: nie rozumiemy przez to jednak wcale, żeby ta myśl miała jakąś istotną podstawę w rzeczywistości. Jest to tylko hypotetyczna po-

---

Ojciec Emanuel

przez

P. K. Roseggera.

— Nie wiem, doprawdy, ojcze duchowny, od czego mam zacząć. Często przychodzi mi na myśl, że życie moje dlatego tak jest nieszczęsnem, iż jest grzechem moich rodziców. Dzieckiem nowonarodzonem znaleziono mnie w Insbruku u progu kościoła. Dostałam się stąd do domu podrzutków. Dom ten wydaje niemowlęta na miasto ludziom, którzy tego żądają. Wielu do takiego żądania skłaniają pieniądze, które razem z dziećmi w tych razach są udzielane. Mnie oddano jakiejś kobiecie wiejskiej, która była „fabrykantką aniołków," która mianowicie pieniądze otrzymane obracała na swoje potrzeby, a dzieci uśmiercała. Umarłe dzieci w niebie stają się aniołkami, o tem wiesz, ojcze wielebny? Ale we mnie życie było niewyczerpane, a gdy spostrzegła moja opiekunka, że umrzeć nie mam ochoty, namyśliła się, że lepiej będzie wychować mnie do pracy. Biła mnie i dręczyła, zaprzęgała do robót ciężkich i morzyła głodem. Nie znałam nie lepszego, ani gorszego, i zdawało mi się, że tak być musi. Wyrosłam jednak i byłam wesołą, śpiewałam jakbym nigdy nie miała trosk. Nie z próżności to powtórzę, ojcze wielebny, ale ludzie mówili często, że piękny mam głos i chętnie mi się przysłuchiwali.

Dziewczę umilkło i patrzyło na podłogę. A gdy spowiednik prosił, żeby opowiadała dalej, podniosła oczy zasmucona i spytała:

— Nieprawdaż, ojcze wielebny, że nie godzi się, aby człowiek jeden sprzedawał drugiego? Musiałam istotnie bardzo być niewdzięczną i spowiadam się z jej grzechów, zamiast z moich. Ale ona mnie sprzedała.

Dławił ją ból; zaledwie mówić była w stanie.

— Jednego dnia — ciągnęła dalej — przyszedł do nas piękny, wysoki mężczyzna w stroju tyrolskim, z piórkiem na kapeluszu i z gęstą rudą brodą — i widocznie żartem zapytał, co kosztuje słowik.

— Sprzedam za sto złotych i dobre słowo! — zawołała moja opiekunka.

— Wyliczył jej, wiele chciała, a słowikiem byłam ja.

Emanuel wstał i jak purpura czerwony chodził prędko po pokoju.

— Czyż być może! — szeptał — w naszym kraju! wśród dzielnego ludu alpejskiego!

— Nie płakałam, ani śmiałam się. Odeszłam z mężczyzną rudobrodym. Podróżowaliśmy daleko; on grał na cytrze, a ja śpiewałam. Zbieraliśmy pieniądze. Piękne sprawiał mi ubranie i był dla mnie ojcem: troskliwie czuwał nademną, kiedy młokosy lekkomyślni chcieli zbliżyć się do mnie. Tak przeszło kilka lat. Kiedym wszakże starszą się stała, towarzysz mój pewnego razu powiedział mi słowo jedno — ojcze wielebny, nigdybym nie śmiała powtórzyć tego. Z oburzeniem odepchnęłam go. Nie uwierzysz, jak strasznem odtąd było moje położenie. Pan mój słodkim był dla mnie i gburowatym, szalał za mną, ale nic mu to nie pomogło. Wciąż grał na cytrze, a ja śpiewałam, jak dawniej, i doszliśmy już byli do sporego majątku. Lecz — muszę zaprzestać mego opowiadania ojcze wielebny, widzę, że to nie spowiedź — sama sobie przerwała dziewczyna, oczami pytając i błagając zarazem, ażeby jej wolno było mówić dalej.

Emanuel schwycił obie jej ręce i rzekł: „Jestem bratem twoim!"

Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na niego. Wszak wiedziała zaledwie, co to znaczy brat. Umilkła strwożona a ksiądz pomyślał, że wyjdzie nakoniec na jaw wina tego dziecka rozkosznego, dziecka, które jako pokutnica przyszło do kościołka w opuszczeniu i leżało teraz u jego nóg.

— Podczas podróży w górach — zaczęła znów nieznajoma — wysiedliśmy z karety

dwalina systemu; takich tymczasowych podwalin może być wiele; jeden filozof przyjmuje dwoisty ruch; drugi może w tym celu wymyśleć wzajemne ciążenie lub przyciąganie i odpychanie itp. Gdyby S. był się ograniczył tylko na tem wyprowadzeniu z niezaprzeczonego faktu *ruchu* hipotezy dwoistego ruchu, i na tej hipotezie, jak to w istocie czyni, budował swój system, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, jeśliby tylko dalsza budowa zgadzała się z rzeczywistością, jeśliby więc ta hypoteza nie sprzeciwiała się dalszym faktom rzeczywistym: ale uważajmy, że S., wyprowadzając z ruchu, dwoisty ruch, wsunął nam do tego wniosku jeszcze inne pojęcie, którego ani ze samego ruchu wywieść, ani żadną legitymacyą usprawiedliwić nie mógł—tj. pojęcie *organizmu*. Powiada on bowiem ni stąd ni z owąd: „Prawem odwiecznem, *przeto* (?) powszechnem i niezmiennem jest *organizm* jeden i wspólny przyrodzie całej, opierający się na dwoistym ruchu itd.“ Jakto „*przeto*?“ Z faktu *ruchu* i z faktu, że widzimy na świecie całości i części, jeszcze nie wypływa, że przyroda cała jest „*organizmem* jednym i wspólnym.“ To pojęcie zatem „organizmu“ jest znowu jakiemś pojęciem *a priori*, które nam S. narzuca, udając niby, że ono wynika z faktu ruchu i z faktu istnienia na świecie części i całości. Pojęcie organizmu jednego i wspólnego całej przyrody nie wypływa wcale z powyższych faktów, ale nie mylimy się może, jeżeli sądzimy, że ono się dostało do Supińskiego bezpośrednio lub pośrednio od owej „filozofii natury Schellinga, która się opiera na tem pojęciu „organizmu jednego i wspólnego całej przyrody“ i z tego pojęcia *a priori* cały swój system wyprowadzała, a co więcej, całą naukę o państwie i społeczeństwie w Niemczech tą „organicznością“ swoją zaraziła i zagmatwała. Zresztą przyznać trzeba, że to pojęcie „organizmu jednego całej przyrody“ ma swoje historyczne znaczenie, bo było przejściem do monizmu; to też wykazawszy tylko jego dowolność i czysty aprioryzm u Sup., tem chętniej przebaczamy mu *salto mortale* logiczne, o ile *on* śmiałym tym skokiem z metafizycznych sfer dostaje się na czysty grunt monizmu: „...bo świat zwany umysłowym nie ma oddzielnego istnienia, a zatem i praw oddzielnych. Prawa świata fizycznego powtórzyć się muszą w umysłowym świecie...“ Można było do tej prawdy dojść inną drogą, bez pomocy Schellingowskiego wszechorganizmu, ale mniejsza o to—bądźmy zadowoleni, że Supiński, może jako pierwszy monista w Polsce, prawdę tę wypowiada. Oby jej tylko był pozostał wiernym, trzymał się jej konsekwentnie i w właściwy sposób ją stosował do objawów świata i życia! Niestety, sposobu tego nie użył. Zaraz to wykażemy.

Ni stąd ni z owąd z „dwoistego ruchu“ wydostał w mgnieniu oka „dwie siły.“ „Sił jest tylko (?) dwie w przyrodzie—powiada on: siła *rzutu* i siła *przyciągania*; *tak jak* dwojakie jest tylko stanowisko każdego istnienia, będącego raz całością samą w sobie, raz częścią rozleglejszej całości“ (65). Mniejsza znowu o to, że Sup. na samem porównaniu, na samem „tak jak“ opiera znowu wywód „dwóch sił:“ boć z samego faktu istnienia w świecie całości i części jeszcze nie wynika istnienie dwóch sił; to znowu tylko domysł, jak wogóle pojęcie siły działającej w ciałach jest tylko formułką pomocniczą tymczasową w celu rozwiązania pewnych zagadnień fizycznych. Nie mamy więc potrzeby spierać się o sposób wywodu tych sił, niechaj sobie będzie w świecie fizycznym siła *rzutu* i *przyciągania* (zwłaszcza że i astronomowie tą *formułką* posługują się oddawna). Ale przypatrzmy się, jak Sup. stosuje to „prawo“ dwóch sił do objawów społecznych.. „To prawo przyciągania—powiada on—mierząco wzajemny stosunek ciał niebieskich, rozciąga się do wszystkiego, co na nich istnieje: ludy drobne, przyrastają do wielkich i w nich toną; majątki wielkie wzmagają się szybko kosztem drobnych, które ich atrakcyi oprzeć się nie mogą.“ Rozumowanie to zdaje nam się zbyt śmiało! Pytamy co to jest za wytłómaczenie zjawiska ekonomicznego, że majątki wielkie wzmagają się kosztem drobnych—lub też politycznego, że wielkie państwa pochłaniają drobniejsze, co to jest za wytłómaczenie tych zjawisk, jeżeli nam Sup. powiada: *to jest siła atrakcyi*! Wszak wytłómaczenia w tym celu tylko żądamy i w tym celu ono się daje, aby uzmysłowić jakiś proces, pokazać *jak* on się odbywa. Inaczej wytłómaczenie nie jest wytłómaczeniem—i nie ma celu. Jeżeli jednak wobec wspomnianych zjawisk społecznych Sup. nam powiada, „to jest siła atrakcyi,“ to tyle wiemy, co przedtem—„und bin so klug als wie zuvor.“ Czy ktokolwiek zdoła sobie przez samo takie objaśnienie *wyobrazić* działanie tej siły, mocą którego wielki majątek przyciąga drobny lub wielkie państwo przywłaszcza sobie mniejsze? Co innego zupełnie jest hipoteza „siły atrakcyi“ w astronomii, gdzie chodzi tylko o wytłómaczenie krążenia planet koło słońc i tam ona nietylko wystarcza do *uzmysłowienia* sobie procesu krążenia, ale co więcej potwierdzoną być może, a właściwie pogodzoną z faktami tak dalece, że oparte na tej hipotezie obrachunki sprawdzają się. Tam więc umiejętność długo jeszcze a może zawsze posługiwać się będzie hipotezą „siły atrakcyi.“ Inaczej rzecz się ma w dziedzinie zjawisk społecznych, ekonomicznych i politycznych. Czy „siłą atrakcyi“ możemy sobie choćby nawet w najniedokładniejszy sposób uzmysłowić proces podboju jednego narodu przez drugi lub wzmagania się majątku wielkiego kosztem drobnego? Albo czy potrafimy, podobnie jak astronom, kiedy opierając się na tej hipotezie oblicza przyszłe zaćmienia słońca, obliczyć *czy* i *kiedy* np. Dania podbitą zostanie przez Niemcy? Jeżeli nam więc wśród zjawisk społecznych ta hipoteza „siły atrakcyi“ nic nie uzmysławia, nic nie tłomaczy, do niczego nam się nie przydaje, cóż ona ma tutaj za znaczenie? Żadne; znaczy chyba tyle co—przyczyna niewiadoma! Ale wtedy lepiej jest wprost powiedzieć: przyczyna niewiadoma jak „siła atrakcyi:“ bo przyznanie się do niewiadomości jest pobudką do badań; podstawienie zaś formułki „siła atrakcyi“ jest łudzeniem siebie samego.

Otóż Supiński (i nietylko on!) tem błądzi, że domyślając się słusznie, iż jedne i te same prawa ogólne rządzą światem fizycznym i umysłowym (a zatem i społecznym) przenosi żywcem prawa sformułowane przez astronomów i fizyków dla ruchów ciał fizycznych na dziedzinę życia społecznego—i wszelkie objawy społeczne chce wytłómaczyć *siłą rzutu i przyciągania*. Powiadam, że tem błądzi Sup. i że takie stosowanie powszechnego prawa fizycznego do zjawisk społecznych jest niewłaściwem: bo ta sama formułka, która w świecie fizycznym dobrze spełnia zadanie swoje, tłomacząc nam zjawiska odnośne, tutaj celowi temu nie odpowiada, a zatem tutaj nie ma uprawnienia, co gorzej, nie ma innego znaczenia—jak chyba tylko analogii,

---

pocztowej dlatego, że pan mój chciał zwiedzić jedno z poblizkich jezior alpejskich. Nie wiedziałam przedtem, że był miłośnikiem piękności przyrody, ale jezioro owo rozpościerało się tak uroczo wpośród lasów i skał, tak było spokojne i odosobnione, iż oboje bardzo byliśmy uradowani. Wynalazł jakąś łódź rybacką. Nie było nikogo, więc bez wahania wsiedliśmy do łodzi. Odwiązał ją od brzegu i powiosłował na pełną wodę. I skorośmy przybyli na środek jeziora, on...

Dziewczę pokraśniało i umilkło. Emanuel ściągnął brwi. Pod oknem huczał wiatr.

— Nie mogłam ratować się inaczej — mówiła dziewczyna — wskoczyłam w wodę. Od natrętą uwolniona, na nowo zapragnęłam żyć. Przypomniałam sobie słowa starego jednego żołnierza, jak tonący, którzy pływać nie umieją, powinni zachowywać się i poruszać, żeby niepójść na dno. Stosowałam się do tych wskazówek, jak mogłam najlepiej, i w końcu szczęśliwie dobiłam do brzegu, skryłam się w zarosła, popatrzyłam na klnącego mnie rudobrodego i zanim jeszcze miał czas zbliżyć się do mnie, uciekłam. Uciekłam przez las, niby zwierz dziki. A teraz nikogo nie mam na świecie, teraz opuszczona jestem przez wszystkich. I tak się stało w życiu mojem, że gorzko nienawidzić muszę tych dwoje ludzi właśnie, którzy sami jedni dobro mi wyświadczyli. To boli. I chciałabym... ach, ty temu wierzyć nie możesz, ojcze wielebny, jak bardzo chciałabym znaleść człowieka, któregobym pokochała szczerze, z całego serca. Ty tak poważnie patrzysz się na mnie, gdy to mówię, ale jabym póki życia nikomu nie powiedziała tego, tylko tobie, boć ty przecie sam jesteś panem Bogiem, podczas, gdy spowiadają ci się ludzie.

Emanuel skrzętnie zapinał sutannę, która mu się była roztworzyła. Ale robota ta nie szła mu jakoś, bo palce mu odrętwiały.

— Wśród niedoli jednak dobra jeszcze przyszła mi myśl, rzekła dziewczyna — jeśli nie możesz już kochać nikogo, powiedziałam sobie, kochaj najświętszą Maryę Pannę! Ona przecie wybawiła cię z wody. Przez wdzięczność odpraw pielgrzymkę na górę „Maryi w opuszczeniu.“ I mnie także na imię Marya i ja jestem w opuszczeniu. Lepiej zdarzyć się nie mogło.

Zamilkła i płakała.

— Marya w opuszczeniu! — rzekł Emanuel głosem konwulsyjnym i podniósł dziewczę ku sobie.

— Ale i to wyszło mi na złe — dodała— grzech to straszny i ty mi go nigdy nie przebaczysz pewnie, lecz nie chcę go ukryć przy spowiedzi dzisiejszej. Ojcze duchowny, takiej Matki boskiej, jaką tu masz w kościele swoim, ja kochać nie jestem w stanie.

— Takiej kochać nie jest w stanie! — odezwało się w duszy księdza echo przeraźliwe.

— Należy, myślałam, zwrócić się do Boga samego, który wieczną jest miłością — mówiła dalej — zdaje mi się jednak, że Bóg uznał mnie za niegodną, bo woli być zdeptanym na bruku piaszczystym, aniżeli wstąpić w me serce. A teraz sama jedna jestem na świecie — i to mnie tak boli okropnie!

— Nie jesteś sama, dobre dziecię moje! — wyszeptał ksiądz i położył rękę swoją na miękkich jej włosach, a główka jej opadła mu na piersi.

— Taka spowiedź jest dobra — zaszlochała Marya; teraz czuję, że mi lepiej. Gdyby mi tylko było wolno pozostać przy tobie, ojcze duchowny!

Nastała cisza. Na dworze padał deszcz i niejedna jego kropla smagana przez wiatr uderzała o okno.

Spowiednik pocałował w czoło młodą pokutnicę.

Tymczasem Gertruda w kuchni oburzała się na księdza, że go nie było ani w domu, ani w kościele, podczas kiedy pielgrzymi najbezmyślniejsze wyprawiali sceny. Nie ma teraz ładu „w opuszczeniu,“ mówiła, i trzeba koniecznie dać znać o tem w klasztorze, aby było inaczej.

VII.

Późno już przed wieczorem, gdy skończyły się uroczystości święta niebowstąpie-

przenośni lub porównania z jakiemś dalekiem, mglistem podobieństwem.

Błąd ten przenoszenia żywcem praw świata fizycznego na dziedzinę umysłową i społeczną popełniali i popełniają przed i po Supińskim liczni socyologowie. Ale już Holbach (w *Systemie natury*), który podobnież jak Supiński bierze „ruch“ za punkt wyjścia swych wywodów, a siły przyciągania i odpychania za główne sprężyny poruszające wszechświatem, już Holbach powiadam, ustrzegł się tego błędu przenoszenia żywcem praw fizycznych na dziedzinę umysłową i społeczną, a mówiąc o człowieku i zachowaniu się jego, nie mówi o siłach przyciągania i odpychania, ani o sile ciążenia, ale o „*samozachowawczości*,“ jako popędzie naturalnym człowieka. Ważna to rzecz, żeby nie przenosić niewłaściwie praw powszechnych z jednej dziedziny na drugą; bo każda odrębna sfera zjawisk posiada właściwe sobie prawa; bez wątpienia, wszystkie te prawa mają jakąś wspólną przyczynę, jakieś wspólne źródło — którego jednak jeszcze nie znamy. Chcąc zaś badać przedmiotowo poszczególne różnych dziedzin zjawiska, powinniśmy trzymać się uważnie natury tych zjawisk i nie mieszać z sobą różnych sfer (a więc np. ciał niebieskich z światem roślinnym i zwierzęcym itd.) i w każdej właściwych naturze jej zjawisk szukać praw. Przeciwko tej kardynalnej zasadzie metodologicznej w socyologii grzeszy Supiński i wielu innych, jak np. Schäffle i Lilienfeld w Niemczech, którzy prawa życia zwierzęcego, życia organizmów zwierzęcych, przenoszą żywcem na rozwój społeczny i państwowy. Stąd wynika niejasność wywodów i myśli — które się gubią w mgle czczych upodobnień i nie dają żadnego dodatniego rezultatu umiejętnego.

(D. c. n.).

L. Gumplowicz.

PAN TADEUSZ

(w rozbiorze d-ra H. Biegeleisena).

Oglądaliśmy i podziwiali przepiękny gobelin. Naraz przychodzi człowiek, który tłomaczy nam najdrobniejsze szczegóły obrazu, historyę każdej jego postaci, stosunek do życia rzeczywistego, a wreszcie rozsnuwa całą tę tkaninę na pojedyncze nici, pokazuje ich przędzę, barwy i układ. Taką jest praca dr. Biegeleisena o *Panu Tadeuszu*. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej drobiazgowego, sumiennego, pracowitego. To już nie rozbiór estetyczny poematu, ale filologiczna szarpina. Krytyk rozważa—i to z wielu stron—każdą scenę, każde porównanie, każdy niemal wyraz. Jeśli tam czego brak, to chyba chemicznej analizy atramentu i papieru, użytego do napisania *Pana Tadeusza*. Tylko dzieła klasyków starożytnych komentowano dotąd w ten sposób. Czy on nadaje się do utworów nowszych—żywych? Dlaczego nie?

Gdyby ktoś—jak to czyniono z Biblią i Shakespearem—obliczył sumę wyrazów w *Panu Tadeuszu*, gdyby ktoś inny wyszperał, ile godzin Mickiewicz potrzebował na wykończenie swego poematu—nie moglibyśmy powiedzieć, że te prace zostały zmarnowane. Wogóle niepodobna jest wyznaczyć granicy, na której kończy się badanie użyteczne a zaczyna bezużyteczne. Zwykle tę granicę zakreślamy zbyt blisko, gdyż cała nasza literatura naukowa trzyma się przeważnie w ogólnikach, a nasz umysł nie lubi robót drobiazgowych. Gdyby studyum dr. Biegeleisena zawierało więcej „poglądów“ a mniej szczegółów, podobałoby się nam daleko lepiej. Wzdychano nawet publicznie, że autor nielitościwą ręką pokrajał najpiękniejsze nasze arcydzieło. Sam on przeczuwając tę skargę, powiada: „Wiem, że taką wiwisekcyą poetyczną nie wiele się zyska. Już przez samo rozdrabianie i rozczłonkowanie organicznej piękności, niemniej jak przez reflektowanie nad doznanemi wrażeniami ulatnia się pół ciepła poezyi, bo uczucie, czem częściej je na jaw z głębi wydobywasz, tem więcej przestaje być właściwie uczuciem. Dotykając się ciężką, spracowaną ręką tych białych skrzydeł natchnienia, strach mnie czasem ogarnia i czuję całą odpowiedzialność, oraz niewdzięczność analizy poetyckiej, ograniczającej się do reprodukcyi żywego organizmu poezyi.“

Uwaga taka mogła się nasunąć autorowi tembardziej, że drobiazgowością swej krytyki, sięgającą aż do zaimków i spójników, używanych lub opuszczanych w *Panu Tadeuszu*, nie pokrajał go na kawałki, ale starł na miazgę, i rozmaitymi odczynnikami wydzielił z niej wszystkie pierwiastki. Robiąc po kilka analiz nad wieloma kawałkami poematu, przepisał prawie cały, a niektóre jego części po dwa i trzykroć. Tak np. ustępy, zawierające wspomnienie o czasach, kiedy „wiara kwitła“ a „policyi nie było żadnej,“ lub też wzmiankę o szyszakach, w „których gołębie karmią swe pisklęta“ i inne powtórzone są i rozebrane wielokrotnie. Na 449 stronicach mogło się dużo pomieścić takich szczegółowych komentarzów, które dr. B. ułożył w grupach. Mamy w nich obraz życia szlacheckiego w *Panu Tadeuszu*, jego plan i kompozycyę, przedmiotowość, malowniczość, epizody, dyalog, technikę, styl — oprócz ustępu, odnoszącego się do poety.

Każdy sąd o pracy literackiej będzie niesprawiedliwy, który się nie oprze na stanowisku jej autora, na jego założeniu. Dr. Biegeleisen zamierzył napisać możliwie szczegółowy, filologiczno-estetyczny komentarz do *Pana Tadeusza*—z tego więc zamiaru tylko obrachowywać go winniśmy. Otóż przyznać trzeba, że osiągnął swój cel całkowicie, z takim nakładem pracy, iż jedynie wykazać możemy jej nadmiar, nie zaś niedostatek. Istotnie, chociaż granicę drobiazgowości krytycznej odsuniemy daleko, dalej niż przeciętny gust naszego ogółu żąda, w pracy dr. Biegeleisena znajdziemy stronice zbyteczne, nierozjaśniające rzeczy i nie przynoszące nowych rysów dla charakterystyki geniuszu poety. Tak np. czytamy w wykazie właściwości *Pana Tadeusza*. „Mickiewicz lubuje się też w kontrastach form, barw i pozycyj. Na grzybobraniu jedni „*w czarnych, ciasnych*, ci *w długich, rozpuszczonych* szatach; tamten *pod kapeluszem, jak obręcz szerokim*, ten *z gołą głową*. Każdy *w innej* postawie.“ Nawet piękność krajobrazu polskiego przedstawiono raz w kontraście do włoskiego. Brzezina jest płaczącą wieśniaczką wobec cytryny, bogatej ale brzydkiej kobiety. „Długi, cienki, chudy“ cyprys stanowi kontrast z cytryną „małą, krótką i pękatą.“ Szczególniej lubuje się poeta w kontrastach światła i ciemności. „Słońce w otwór wpadło do *ciemnicy słupem ognistym*“ i „po *ciemno zielonem* sianie rozpływały *złote migające* pręgi z otworu *czarnej* strzechy, jak *z warkocza wstęgi*.“ W tych przytoczeniach autor widzi i podkreśla właściwości pióra Mickiewicza. My nie widzimy tego wcale. Takich „kontra-

---

nia, znaczna część pątników w powrotną wybrała się drogę. Raz jeszcze korne przed obrazem bili pokłony. Niektórzy mieli zamiar zdjąć go z ołtarza i obnosić w około góry, a nawet zabrać do ojczyzny, żeby pocieszycielkę bożą wciąż mieć przy sobie.

Emanuel surowemi słowy powstrzymał tłum rozszalały. Za zdjęciem obrazu pójść mogło zrabowanie go. Dziś miał dowód najlepszy, do czego zdolne są umysły przez fanatyzm rozżarzone. Kamień mu spadł z serca, gdy odchodzili pątnicy, to też chętnie ich odprowadził. W komży, stule i birecie wyruszył wraz z tłumem aż po za skały spadziste. Tam udzielił wiernym błogosławieństwa kapłańskiego i wrócił.

Deszcz ustał, ale na murach zawisła mgła, a gór szczyty w szarych kąpały się obłokach. Po nad okolicą zaległo ponure jakieś usposobienie, podobne do smutku, przygniatającego pierś młodego kapłana.

Kiedy tak po zwilgotniałej i piaszczystej drożynie szedł ku kościołowi, spotkał Maryę, ową pokutnicę niezwykłą. Odzyskała siły i zamierzała właśnie w ciszy i zasępieniu opuścić znów miejsce, do którego pełna utęsknienia i nadziei przybyła zdaleka.

— I nie pożegnasz się ze mną? — spytał ją ksiądz.

Dziewczyna zwlekała z odpowiedzią, potem zaś odparła.

— Nigdzie cię nie widziałam, ani w kościele, ani w domu.

— Czy szukałaś mnie?! — zawołał Emanuel, usiłując przytem stłumić głos, tak, że pierwsze jego słowa były krzykiem niemal, a ostatnie szeptem tylko.

— I ty sama idziesz, Maryo? Wieczór się zbliża i grożą chmury, a nie znasz drogi wśród dzikich gór...

— Skoro tylko stanę na dole u czerwonego słupa, na którym jest anioł, już drogę znajdę. Kto nie wie, dokąd idzie, dla tego każda droga jest dobrą — odrzekła dziewczyna.

— Do czerwonego słupa trzy godziny drogi—powiedział Emanuel. Jeżeli chcesz, Maryo, odprowadzę cię trochę.

Było to znów jedno z owych postanowień, które powziąwszy Emanuel, zapomniał o swej godności kapłańskiej. Zawsze ściśle spełniał swe obowiązki duchowne, teraz jednak obowiązki te, jego urząd i dążenie, tak odrazu wydały mu się błahe i bezpożyteczne. Nie pojmował, jak można rzetelnie służyć ludzkości za pomocą „Maryi w opuszczeniu.“ Wprawdzie pojedynczy pątnicy z wiarą i ufnością znajdowali rzeczywiste serca ukojenie w tem miejscu poświęconem. Ogół wszakże, tłum wielki nie odprawiał tu nabożeństwa tak, jak to nauczał Chrystus. Mimo to Emanuel czuł zawsze cześć wielką dla obrazu cudownego. Długie lata, podanie piękne, miłość ludu wreszcie — wszystko to czyniło dlań godnym szacunku obraz, którego był stróżem. Ale wyznanie nieznajomej, biednej dziewczyny, że tej Matki bożej kochać nie może, głośno i straszliwie obudziło w nim uczucie, które starał się wciąż stłumić w sobie. Od chwili owego wyznania złożonego przez nieszczęśliwe, przygnębione serce z ludu, obraz Maryi na ołtarzu stał mu się nieprzyjemnym i odpędzał go. I nagle, gdy patrzył na dziewczę odchodzące, przyszło mu na myśl, że lepszym będzie pasterzem, jeśli temu dziecku bezsilnemu i niedoświadczonemu towarzyszyć będzie wśród nocy i mgły, aniżeli gdy pozostanie na straży figury drewnianej w niszy...

Marya zarumieniona z wdzięcznością przyjęła ofiarę Emanuela. Ksiądz zdjął ze siebie szaty kościelne i w zawiniątku zabrał je w drogę. I w pustyni wśród nocy szedł młody mężczyzna z dziewczyną młodą.

Przebywali zarośla, wśród których Emanuel musiał za rękę prowadzić towarzyszkę swoją; szli przez urwiska strome, gdzie musieli przytrzymywać się wzajem, ponad przepaściami po tak wąskich przesuwali się ścieżynach, iż dziewczę przelęknione nieraz musiało zezwolić, aby je ksiądz na silne brał ramiona.

(D. n.).

stów“ u każdego znakomitego poety, a zwłaszcza opisowego, można znaleść mnóstwo. Zestawianie różnych barw i kształtów, przecinanie ciemności światłem—są to tak zwykłe środki poetyczne, że nie stanowią właściwości żadnego pisarza i żadnego utworu. Dr. Biegeleisen wymienia je dlatego, że wyczerpuje cały zasób techniki poetycznej, a nietylko Mickiewiczowskiej.

W wyliczaniu sposobów tej techniki krytyk mimowolnie może wlewa w czytelników mylne przekonanie, a przynajmniej nie zapobiega mu, że Mickiewicz układał swoje wiersze z zupełną świadomością prawideł poetyki: tu kładł dla efektu cezurę, tam łączył zdania asyndetycznie, tam używał onomatopei itd. Tymczasem jest rzeczą prawie niewątpliwą, że nie wierszoroby, ale poeci istotni i genialni posługują się tymi środkami bezwiednie. Dr. B. przytacza następujący przykład onomatopei w *Panu Tadeuszu*: „*Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe i w liczmanach błyszczących znajduje zabawę, nim rozezna ich wartość*, tak się dziecię jej *pieści z dźwięcznemi* słowy, których nie pojęła treści.“ Naprzód nie widzimy tu wyraźnego i kunsztownego przykładu onomatopei a powtóre, o ile ona jest, to tkwi już w samym języku. *Pieścić* jest dźwiękiem miękkim i wyraża naturę czynności, ale to łagodne brzmienie słowa wytworzył już sam język. Podobnież użycie wyrazów: ryk, trzask, krzyk — nie jest żadną sztuką onomatopetyczną, gdyż nawet odpowiednich zjawisk inaczej odmalować nie można i sam język już odbija ich istotę. I tu więc musimy powtórzyć, że dr. B., skutkiem nadmiernie drobiazgowej sumienności zapisał na rachunek Mickiewicza środki poetyckie, nienależące wcale do jego znamion oryginalnych.

Zarzucono autorowi, że wymierzył wartość *Pana Tadeusza* prawidłami estetyki szkolarskiej i że niepotrzebnie przeprowadził szczegółowe porównanie tego poematu z epopejami. Że dr. B. do oceny naszego arcydzieła użył aparatu krytycznego, który w wielu miejscach okazał się niestosownym, że niedość miał na uwadze całkiem nowy objaw twórczości, staremu kodeksowi poetyki niepodległy — to jest do pewnego stopnia słusznem. Natomiast nie możemy się zgodzić, ażeby owo porównanie było zbytecznem. Przeciwnie, rozjaśnienia tej sprawy potrzebowała właśnie nasza literatura, w której uparcie przypinano *Panu Tadeuszowi* tytuł epopei. Dr. Biegeleisen wykazał świetnie i szczegółowo, o ile poemat ten jest zależnym i pokrewnym eposowi starożytnemu i nowym jego naśladownictwom, a o ile odskoczył od wzorów w tym rodzaju, a odskoczył tak dalece, że epopeją w znaczeniu właściwem nazwać go nie można. Ta kwestya została przez krytyka naszego stanowczo rozstrzygnięta.

Mimo wszelkich możliwych zarzutów książka dra Biegeleisena posiada niezwykłą wartość i długo zachowa doniosłe znaczenie, gdyż dla późniejszych badań przerąbała i utorowała drogę.

Hr. Tarnowski opowiada w *Echu muzycznem*, że aż „zabolało“ go to, iż „najlepszą dotąd pracę o *Tadeuszu* zrobił człowiek, którego samo nazwisko wskazuje pochodzenie *niepolskie*? Więc spadliśmy tak nisko — utyskuje p. hrabia — że o tem, co nazywamy szczytem swej sztuki, a najdoskonalszym wyrazem swojego ducha, lepiej, niż my dotąd, mówi człowiek nienaszej krwi, nienaszej tradycyi, nienaszej wiary nawet? Otóż, albo się bardzo mylimy, albo dziś jeszcze tylko taki mógł taką pracę z *Tadeuszem* przedsięwziąć i jej dokonać.“ Zuchwała ta i nieprzyzwoita apostrofa, która lenistwo lub nieudolność „naszej krwi, naszej tradycyi i naszej wiary“ usprawiedliwia tem, że tylko „taki,“ innemi słowy—niepolak (choć równie dobry polak, jak p. Tarnowski) mógł „takiej“ pracy dokonać — zawiera pośrednio wielką dla dra Biegeleisena pochwałę. Jego studyum jest dotąd najgruntowniejszą rozprawą o największem arcydziele naszem, a ta praca posłuży chyba za lepsze i wymowniejsze świadectwo „stosunku“ autora „do tej ziemi,“ niż wszystkie hrabiowskie lamenty. O ile niewłaściwem i nietaktownem byłoby kiedyś utyskiwanie, że Lelewel, człowiek niepolskiego nazwiska i „nienaszej krwi“ opracowywał dzieje Polski lepiej, niż „my,“ o ile podobny szmermel jest nieprzyzwoitym dziś wobec dra Biegeleisena — nie rozstrząsamy; dość zaznaczyć, że nie hr. Tarnowski, poświęcający się historyi piśmiennictwa polskiego, mający dużo czasu i niepotrzebujący go uszczuplać zarobkiem na chleb, ale niezamożny młody „taki“ napisał „najlepszą pracę o tem, co nazywamy szczytem swej sztuki.“ Nas to wcale nie „boli,“ owszem bez westchnień i zaglądania do ksiąg meldunkowych, które tylko hrabiowskiej krytyce mogą być potrzebne, składamy pracowitemu i dzielnemu badaczowi słowa szczerej wdzięczności. Niech książka jego dojdzie do każdych rąk, w których spoczywał *Pan Tadeusz*, bo ona, jak żadna inna, *uświadomi* cześć dla genialnego poety, wytłomaczy jego wielkość, nauczy nietylko go kochać, ale rozumieć i oceniać, a nauczy lepiej, niż wszystkie mdło-słodkie i płytkie potoki wymowy. *S.*

PSYCHOGIENEZA.

II.

Powstawanie i rozwój organizmów roślinnych i zwierzęcych, tj. układanie się materyi w ustalone kształty, celowe i uregulowane osiąganie zamierzonych działań, uporczywe trzymanie się przez szereg zmian przy raz ustalonym porządku, naginanie się samodzielne do okoliczności i samodzielne dźwiganie się z każdego upadku—oto są fakty, których, zdaniem prof. Szok., nie objaśni nam żaden mechanizm, ani żaden molekularno-fizyczny proces (s. 3, 9, 15, 31); nauczą nas one, jak to się wszystko odbywa, ale nie powiedzą *dlaczego* i do tajemniczej sprężyny działania nie sięgną. Siła, pojmowana jako ruch, „ślepa zmiana miejsca,“ „bezpośrednie następstwo zewnętrznej pobudki,“ nie tłomaczy całego zjawiska (s. 9) prócz sił musimy jeszcze koniecznie przypuścić w przyrodzie *rządzące działacze*, któreby na oślep poruszającą się materyą tak kierowały, iżby musiała skupiać się w kształty, ustalone porządkiem rzeczy (str. 10).

Tajemniczy ten czynnik zrazu dr. Szok. mianuje ogłędnie niewiadomą X.; dążąc dalej do bliższego określenia, okazuje, iż nie może on być ani „siłą żywotną,“ ani „myślą czynną stworzenia,“ gdyż w wyrażeniach tych kryje się zupełny „brak treści;“ „określają one rzecz całą, ale jej nie tłomaczą bynajmniej“ (s. 10). Wreszcie po tej tak słusznej i więcej obiecującej ocenie fikcyjnych objaśnień, kończy autor tem, iż pod owe X., będące czynnikiem organizacyi i życia, podstawia pojęcie „*duchowego osobistego czynnika*“ (s. 40). Czynnik ten jest tem w każdej organicznej istności, czem w przyrodzie dusza świata: „jest on tej duszy maleńkim usamowolnionym odpryskiem.“ „Sam *nie będąc siłą*, siłami kieruje i ku zamierzonym zwraca je celom;“ jest on *duchowej* natury i znajduje się w *każdym* osobniku, stanowiąc samodzielną zasadę jego bytu, która z materyi i sił zasiągniętych z zewnątrz, buduje sobie ciało i niem żyje na świecie“ (str. 39). Oto, jak każe nam prof. Szok. tłomaczyć sobie to, czego procesy molekularne wytłomaczyć nie zdołają.

Uderza tu odrazu sprzeczność, w jaką popada autor względem zasadniczego punktu swej metafizyki. Bóg i świat to jedno; „duch, materya i siła—to przedwieczna trójca, stanowiąca jedność, a raczej są to trzy *oderwane pojęcia jednej i tej samej istności*, która się w świecie realizuje“ (s. 63).

Tymczasem „duchowy czynnik organizmu“ nie leży w użytej do dzieła materyi, ani w siłach, użytych do jej funkcyonowania, (s. 14); nie będąc siłą, jest duchowej tylko natury (s. 39); „nie stwarza wprawdzie ani siły ani materyi, lecz jak pszczoła miód z kwiatów, tak i ona zbiera je po odrobinie z atomów odżywczej materyi, łączy je z sobą, wyrabia samodzielnie narzędzia“ i „sam tylko śród nieustannej zmiany pozostaje w nich przez całe życie niezmiennym“ (str. 60).

A więc duch wogóle i jego odprysk nie jest już jednem z materyą, nie jest tylko „oderwanem pojęciem,“ lecz pewnym bytem, który w pewnym momencie przynajmniej istnieje i działa niezależnie od materyi, choćby wtedy, gdy ją „z zewnątrz zasięga,“ gdy z niej coś „buduje“ i „zaprowadza w niej harmonią,“ gdy „zbiera, łączy i wyrabia siły materyi.“ A jeżeli i w tym momencie jest integralnie złączony z materyą, w takim razie mamy równorzędne działanie materyi na materyą, wprawdzie oduchowionej w każdym swym atomie, jednak ulegającej fizycznemu prawu zachowania energii, które w zupełności o rezultacie roztrzygać winno, niezależnie już od jakiegokolwiek duchowego czynnika. Metafizyka może być jałową dla nauki, do niemożliwości fantazyjną i mimo to istnieć i mieć pewne prawo bytu, ale jeśli jest w sobie sprzeczną—popełnia nieodwołalne samobójstwo.

Sprzeczności występują nietylko odnośnie do podstawowej idei, ale mnożą się w samem rozwinięciu pojęcia „duchowego osobistego czynnika.“ Istnienie gatunków, tj. odrębnych, a w szeregu pokoleń odtwarzających się form ustrojowych, każe autorowi przyjąć, że „duchowy osobnik“ ma dwojaką postać bytu: jako *osobnik odwieczny*, jest trwałą, nieśmiertelną, poniekąd bezimienną zasadą gatunku; zmieniając formę wcielenia przechodzi kolejno przez szereg *osobników doczesnych*, które są rzeczywistemi indywiduami. Osobnik odwieczny w ten sposób przebywa *maxima* i *minima* rozwoju: dochodzi do szczytu w osobniku dojrzałym, poczem odradza się w zarodku, aby cykl nowy powtórzyć (s. 43 n.). W każdej pierwotnej komorze odwiecznego osobnika, złożoną została organiczna jedność i trwałość uplastyczniania się—stąd zjawisko *dziedziczenia* (s. 44): zarazem jednak w komórkach niektórych osobników wyższego rzędu tkwił popęd do rozwijania się—stąd zdolność nieskończonego, postępowego *przystosowywania* (s. 48). Trudno doprawdy o pomysł, któryby do większych od tego prowadził zawikłań. Gdy śmierć osobnika doczesnego staje się konieczną, odwiecznik przewidując możność zagłady, zabezpiecza się zawczasu, nowe gospodarstwo buduje, składając pierwszy jego fundament w *zarodku* (s. 38). Ale ponieważ odwiecznik w ciągu doczesnego bytu wytwarza sobie zarodki już nie dziesiątkami, ale tysiącami, a gdy te swój rozwój rozpoczną i sam zwykle żyć nie przestaje, i ponieważ „w zarodkowej komórce całe X. (tj. duchowy osobnik) się mieści“ (s. 37), to skądże się tu bierze tyle „osobników“ i to osobników „odwiecznych,“ „duchowych?“ Czy z każdym aktem zapłodnienia poczyna się nowy „duchowy osobnik?“

W organizmach będących kolonią komórek, z których każda miała swego „odwiecznika,“ gdy powstaje nowa kierownicza władza, nowy „duchowy osobnik,“ skądże on wychodzi, w co się obracają osobniki odwiecznie stowarzyszonych komórek? (s. 213)? Czemże wreszcie jest ten

„osobnik“ gdy mu autor każe być „duszą każdego uspołecznienia, która rozwojem jego kieruje i którą opatrznością społeczną zowiemy“ (s. 449)—jeśli nie pustą chimerą, czczym dźwiękiem? Tak to wyszedłszy z założenia zupełnej jedności materyi i ducha, kończy autor przyjęciem jakiegoś beztreściwego bytu, który jest „opatrznością społeczeństwa.“ Lecz dość tej roboty, zbyt łatwej, a bardziej nieprzyjemnej dla krytyka, niż rezultaty jej być mogą dla autora.

Jeżeli pomysł prof. Szok., jako idea metafizyczna, utrzymać się nie da, to czy niema czasem znaczenia, jako idea naukowa, czy nie posłuży do tłomaczenia zjawisk? Otóż w tym względzie widocznem jest podobieństwo, powiedzmy poprostu tożsamość, „duchowego, twórczego osobnika“ z potępioną przez samego autora siłą żywotną, a bardziej jeszcze z najświeższą w tym gatunku produkcyą—Nieświadomem Hartmanna, tak iż czytając wywody prof. Szok., chwilami sądziłbyśmy gotowi, że mamy przed sobą filozofią pruskiego artylerzysty. Objawy t. z. siły leczniczej—mówi nasz autor—zdradzają, że „w tej organicznej jakości jest coś, co istnieć chce, i co może sobie radzić.“ (s. 29). „Duchowy czynnik jest twórcą, bo swój organizm wytwarza i w tym światku zarządza; jest opatrznością, bo pielęgnuje swoje stworzenie i od zagłady ratuje“ (s. 40), a przytem „nic nie robi bez celu i bez ścisłego rzeczy obrachowania“ (s. 41) zapewne i wtedy, gdy wytwarza potwory i nowotwory? „W rozwoju pączka odbywa się proces umysłowy, *bezwiedny*, realizujący się w materyalnym wytworze; pączek nie wie, że się rozwija, nie wie, co robi, ale robi, co ma zamiar zrobić“ (s. 54). „Rozwój nie jest bynajmniej na oślep (mechanicznie) do skutku przychodzącą sprawą, lecz jest jak najwyraźniej w każdej organicznej istocie dokonywającym się *rozsądnym czynem*, który wymaga koniecznie samoistności *przemieszkującego w nim* twórczego psychicznego czynnika“ (57).

Co trzymać mamy o tego rodzaju objaśnianiu, wiemy dobrze. Możemy sobie zawsze wymyśleć jakiś fantazmat na własne nasze podobieństwo, nazwać go Archeusan, Duchem, Bogiem, Dyabłem, Nieświadomem lub Twórczym Osobnikiem, co jest zupełnie wszystko jedno, i kazać mu robić to, co widzimy, że się robi. W ten sposób zadanie nauki niezmiernie się upraszcza, idzie tylko o to, aby dla każdego szeregu mniej więcej różnych zjawisk wynaleść odpowiedniego Ducha, a raczej odpowiedni wyraz; ponieważ zaś pracę tę z powodzeniem wykonała Mytologia, my więc moglibyśmy już ręce założyć. A jeśli powie ktoś, że zadanie nauki polegać może na określaniu *sposobów*, którymi Duchy lub Osobniki cele swoje osiągają, to tu znów jedno z dwojga: albo Osobnik itp. w każdej chwili miesza się w grę sił i atomów, i układa je wedle widzimisię, jak mu to najdogodniej, i w takim razie o żadnej nauce mowy być nie może; albo też dla urzeczywistnienia zjawiska Osobnik zużytkowuje atomy i siły wedle praw stałych i koniecznych. Lecz jeśli ruchy atomów ulegają prawom stałym i koniecznym, to na cóż schodzi rola Twórczego Osobnika, cóż może być więcej zadaniem nauki nad wykrycie owych stałych praw tj. porządku, w jakim następują po sobie zjawiska? a gdy szeregując je w ten sposób, trafimy na ogniwa, których nie zdołamy związać żadnym momentem fizyczno-molekularnym, to czyż zmniejszymy naszą niewiadomość, łatając owe przerwy jakimś wyrazem? Rzeczy te powiedziano już sto razy, lecz widocznie zamało, skoro znajdują się jeszcze uczeni, którzy abstrakcye i słowa biorą za coś rzeczywistego, którzy sądzą, iż przyczynią się do naszego rozumienia np. procesów roślinnych, mówiąc „że jest tam coś, co tworzy i rządzi, co *chce* i co *wie*, a jednak pewnie samo siebie *nie czuje* i nie rozumie. Używa odpowiednich środków do dopięcia odpowiednich *celów*, a jednak idzie *na oślep*“ (s. 395).

Nauka może mieć do czynienia tylko z przyczynami powodującemi (*c. efficientes*), a takiemi przyczynami są: zjawiska materyalne. ostatecznie procesy molekularne; wychodzi ona z założenia koniecznego, że świat daje się pojąć jako mechanizm, bez udziału jakiejkolwiek przyczyny celowej. Istnieniu tej ostatniej przeczyć z góry nie ma zasady, a nawet przeciwnie, idzie tylko o to, że, jeśli świat wogóle możemy wytłomaczyć, to pod warunkiem, że wszystko w nim dokonywa się przez przyczyny powodujące, a przyczyny celowe, jeśli działają, to nie wbrew lub niezależnie od pierwszych, lecz przez nie i z nimi zgodnie, jak to właśnie starał się okazać Leibnitz i sam Spinoza.

Logicznem następstwem monistycznego poglądu jest przyjęcie teoryi rozwoju w najszerszym zakresie, tj. nietylko odnośnie do organizmu fizycznego, lecz i sfery psychicznej. A nawet niezależnie od tego lub innego filozoficznego stanowiska, jedynie teorya rozwoju udzielić może racyonalnej podstawy tak psychologii porównawczej jak ogólnej. Z postawienia jednak kwestyi na tym gruncie wywiązują się szczególne wymagania metodyczne, obce w znacznej części dawnej psychologii porównawczej, która ograniczać się mogła na anegdotycznem charakteryzowaniu umysłowych objawów u niższych ustrojów i, w pewnych razach, przeprowadzeniu paralleli z budową układu nerwowego. Popularna teorya prostych władz duchowych nadawała się szczególnie dla teoryi kreacyonizmu: kolejnemu stwarzaniu gatunków odpowiadało pojawianie się odrębnych zdolności psychicznych, od najniższych jak odruch, czucie, do najwyższych u człowieka—sumienia i rozumu, które specyficznie odróżniały tak gatunki zwierzęce między sobą, jak cały świat zwierzęcy od człowieka. Zasada rozwoju granice te obala i głosi jako konieczny wynik—jedność życia duchowego; jedność zaś tę pojmuje w tem znaczeniu, że różnicę jakości zastępuje różnicą stopnia, mianowicie stopnia złożoności. Wyższy organizm jest skupieniem pierwotnych komórek; wyższe funkcye psychiczne, złożone stany polegają na zintegrowaniu i skoordynowaniu czynności i stanów prostych takich, jak odruch lub wrażenie czuciowe. Wobec tego używane terminy, pojętności lub ograniczenia, rozumu, woli itp. tracą realne znaczenie; wprawdzie w psychologii człowieka odpowiadają im pewne fakty bezpośredniej wewnętrznej obserwacyi, i tu dla dogodności mogą przynajmniej służyć za nazwy abstrakcyjne. Ale gdy zaczniemy śledzić rozwój umysłowy, używanie tych terminów widocznie nie odpowiada celowi. Utworzone dla oznaczenia stanów bardzo złożonych, mogą tylko w błąd wprowadzać i budzić fałszywe skojarzenia, gdy je zastosujemy do form umysłu znacznie niższych. Jakikolwiek byłby stopień rozwoju zwierzęcia, nie można mówić o jego rozumie we właściwem ludzkiem znaczeniu; omówienie zaś w rodzaju tego, że mamy tu „mniejszy“ rozum, niższy jego stopień lub zaczątek, samo przez się oczywiście także niczego nie uczy i nie objaśnia. Należy wprzód dokonać dokładnej analizy czynności np. rozumu, okazać, jakie to szczegółowe zjawiska pojęciem tem obejmujemy, wyznaczyć cechę, odgraniczającą tę grupę od każdej innej. Uwzględniając przytem ogólne zasady teoryi rozwoju—dziedziczenie, przystosowanie, dobór naturalny, zyskujemy dopiero realną podstawę do rozpatrywania o postępie umysłowości, kryterya do odznaczania jego stadyów. Po tej drodze prowadzone badania Spencera, Schmeidera i Romanesa, niezależnie od tego, ile wydały pozytywnych rezultatów, niemniej stwierdziły wartość samej metody i uczyniły ją obowiązującą dla każdego przyszłego pracownika, przynajmniej do wynalezienia lepszej.

Prof. Szok. w głównej części swej pracy traktuje o rozwoju umysłowości. Wyniki teoryi ewolucyjnej przyjmuje bez zastrzeżeń a nawet wyraża je w terminach, które przekraczają może słuszną granicę. „Człowiek w całem swem umysłowem usposobieniu nie przedstawia nam niczego zgoła, coby już w niższym stopniu nie istniało wcale; jest doskonalszym od zwierząt, lecz w niczem nie jest zasadniczo wyróżnianym od nich“ (s. 368). „Wszystkie organizmy zwierzęce są obdarzone jednakim mechanizmem czucia, ruchu i myślenia, z tą jedynie różnicą, że jest on u jednych zaledwie w zarodkowym stanie, u innych coraz doskonalszy, a w człowieku dosięga szczytu“ (s. 366). Faktem przecież pozostaje różnica umysłowości w gatunkach zwierzęcych i u człowieka, dlatego też gdy autor mówi, że „w umyśle człowieka nic nowego nie przybyło“ (s. 387), wydaje się to nam co najmniej nieścisłem wyrażeniem, choćby ze względu na to, że ustosunkowanie części mózgu ludzkiego odmiennem jest od takiegoż ustosunkowania u zwierząt, a także, iż mózg jego stosunkowo przybiera pewną ilość pierwiastków anatomicznych. Niewątpliwie rozumie tu autor to tylko, iż u człowieka nie przybywa żadna nowa zasadnicza zdolność czy władza, w czem ma słuszność zupełną. Lecz przy takiem pojmowaniu przedmiotu, tem ważniejszem jest okazać, w jaki to sposób pierwotne zdolności, funkcye dochodzą do wydania w człowieku funkcyi złożonej myślenia, woli itp. Chyba nic a nic rzeczy nam nie rozjaśnia frazes w tym rodzaju, który u prof. Szok. w różnej formie się powtarza i streszcza jego pogląd na różnicę i postępy umysłowości w przyrodzie. „Zmysły zwierzęcia nie różnią się zasadniczo od ludzkich, wrażenia i uczucia są jednakie, pamięć jednaka, władza sądzenia i wnioskowania jednakie, uczucia i popędy jednakie, i cała różnica, której nikt jednakże nie prześlepia, odnosi się nie do jakości, lecz li tylko co do *udoskonalenia*. A więc jedno i to samo, tylko u człowieka w wyższym nierównie stopniu *rozwoju*.“ (s. 387). Cóż to jest udoskonalenie, rozwój, jeśli nie abstrakcye? W rzeczywistości są tylko pojedyncze włókna i komórki, wrażenia, wyobrażenia i ruchy w rozmaity sposób z sobą skombinowane i uporządkowane; i różnicy dwóch umysłów nie zrozumiemy, dopóki nam nie pokażą, w jaki to sposób owe pierwiastki w nich się koordynują. Że w końcu jeden sposób uporządkowania nazwiemy wyższym od innego, to już jest rzecz uboczna i względna, istotnem jest to tylko, byśmy w każdym wypadku ów sposób poznali i rozjaśnili.

Jeżeli tak, nie więcej się dowiadujemy i wtedy, gdy nam prof. Szok. z każdego typu lub gatunku przytoczy szereg faktów, anegdot z życia umysłowego zwierząt. Zbiór takich faktów, zaczerpniętych u dawniejszych obserwatorów i własnych autora, stanowi najpokaźniejszą, a dla ogółu czytelników najbardziej interesującą i nauczającą część jego pracy. Ale z punktu widzenia naukowego, fakty tego rodzaju znajdą wartość tylko materyału surowego. Mogą nas one zajmować, dziwić, bawić, ale nie poddane analizie i nie odniesione do ogólnych kategoryj, samo przez się procesu rozwoju nie odsłaniają, ani stopni jego nie charakteryzują; gdy objawy złożone nie są sprowadzone do jednego mianownika, jednego lub niewielu pierwiastków, porównanie ich między sobą oczywiście jest niemożliwe. Gdy w funkcyi rozumu okażemy, jako najprostszy moment — wnioskowanie ze szczegółu o szczególe, dalej o ogóle, tworzenie pojęć ogólnych itd., możemy wtedy porównywać wnioskowanie np. raka z wnioskowaniem

człowieka; ale dopóki mówimy tylko o rozumie, to nie więcej nie możemy powiedzieć nadto, że jest on u zwierzęcia mniejszy, u człowieka większy.

Prof. Szok. nie uważał za stosowne dokonać analizy złożonych objawów psychicznych; bierze on je *in crudo* pod postacią utartych pojęć psychologii spirytualnej, łącząc do nich nieznane już w żadnej psychologii popularne pojęcia gminnej obserwacyi. Tak np. ze szczególną nieoględnością wygłasza autor takie zdania, że „rozsądek wyznacza i opisuje każdemu pojęciu *stanowisko* względem innych pojęć" a „wnioskowanie wyznacza (?) zachodzące między pojęciami *stosunki*, prowadzi do ich zrozumienia, i dlatego też *władza* umysłu, na której polega, rozumem się zowie" (363). Albo, że „sumienie się *nie kształci*, głos jego zarówno u zwierząt jak u człowieka jest zawsze jednaki;" „zrazu odbywa się bezwiednie jako *przymus przyrodzony* (?), a potem oświadamia się stopniowo" (386); że „wiedza dla człowieka jest *koniecznością wrodzoną*, na równi z *pożywieniem* dla ciała" (356); itp. Zbyt wiele miejsca by zajęło, gdybym chciał w definicyach tych wykazywać ich błędy lub niedokładności, które zresztą dla każdego obznajmionego z przedmiotem są widoczne. Brak analizy i dokładnych określeń uniemożliwia też i objaśnianie zjawisk rozwoju. Autor zadawalnia się tem, iż za powód małego postępu zwierząt podaje ich *„ograniczenie,"* albo twierdzi, iż „kreta ani węgorza nie wyuczysz niczego z tej prostej (?) przyczyny, że są za *głupi*" (s. 294), lub tłomaczy nam, że „myślenie u zwierząt najinteligentniejszych nie przekracza tego, co *rozgarnieniem* (?) zowiemy" (249).

Nieuwzględnienie zasad teoryi rozwoju i analizy zjawisk odbiło się szczególnie na tych właśnie punktach, na które owa teorya dotąd najwięcej światła rzuciła, mianowicie na wykładzie o instynkcie. Dla prof. Szok. instynkt jest jeszcze pewną władzą prostą, która wytwarza ruchy i obyczaj (204); pierwotną, która działa ogólnie i stale na niższych stopniach rozwoju, jako „bezwiedne odbywanie się procesów umysłowych" i dopiero z dalszym udoskonaleniem mózgu ustępuje miejsca myśleniu świadomemu (389). Tymczasem badania ewolucyonistów nie zostawiają wątpliwości, że instynkt nie jest bynajmniej „formą myślenia" (391), lecz jest tylko rodzajem „pamięci gatunku," objawem dziedzicznego przyzwyczajenia ruchowego; że nie jest zasadniczym i pierwotnym, że poprzedza go odruch albo świadome, rozumne działanie; że nie jest niezmiennym ani nieomylnym; że nie jest przywiązany do żadnego szczebla rozwoju wyłącznie, lecz na każdym z nich przy odpowiednich okolicznościach może powstawać i znikać. Są to rzeczy, które powinny być chyba wiadome autorowi „rozwoju umysłowości."

Jakikolwiekbyśmy zresztą sąd wydali o ostatniej pracy prof. Szok., dla słusznej oceny zasługi autora, pamiętać winniśmy że w wielu razach, a u nas bardziej niż gdzieindziej: umieć coś robić niedość dobrze lepiej jest, niż nie robić wcale.

Dla nauki ani filozofii zapewne książka prof. Szok. rzeczywistego nabytku nie stanowi. Niemniej jednak w umysły ogółu, który zapozna się z nią winien koniecznie, wniesie ona niejedno dobre ziarno: dosyć faktów ciekawych i nauczających, dość poglądów trzeźwych i naukowych, wolnych zarówno od przesądów obskurantyzmu, jak teologicznych uprzedzeń, odsłoni nam w autorze nader sympatyczne rysy: gorące a zupełnie szczere dążenie do prawdy, miłość przyrody, podniosły nastrój religijny w dobrem znaczeniu słowa.

J. W. Dawid.

Prasa peryodyczna.

I.

Ateneum. Rok 1885. Styczeń, luty, marzec.

Z powodu braku u nas wydawnictw peryodycznych specyalnych, miesięczniki często muszą spełniać niewłaściwe dla nich zadanie. Z tego względu nie mają one ściśle określonego charakteru, ani stałych rubryk, ale są zbiorem artykułów przygodnych, o rozmaitej skali naukowej, lamusami literackimi, w których kwestye bieżące mieszczą się obok zabytków archiwalnych. Przewaga specyalnego balastu osłabia ich żywotność, osłabia wpływ, jaki organ prasy wywierać powinien, pozbawia niemal charakteru czasopism.

W bieżącym kwartale *Ateneum* pomieszcza aż 6 prac zebranych pod rubryką: nauki i sprawy społeczne. P. Oskierko pisze „O Zastoju w handlu zbożowym," jednostronnie bardzo przedstawiając sprawę przesilenia rolniczego, które sprowadza do walki z konkurencyą amerykańską. Sporą część artykułu zajmuje opis stosunków i urządzeń amerykańskich, zbyt powierzchowny jak na poważne pismo, bo nawet taki np. *Dziennik łódzki* podawał daleko gruntowniejsze sprawozdania. „Elewatory i warranty" p. B. Wernera dotykają poszczególnych punktów tej samej kwestyi. P. Milewski pomieścił wypracowanie „W sprawie emisyi listów metalicznych, przeciw której oświadcza się stanowczo. Rzecz ta nie zdradza bynajmniej naukowego ujęcia przedmiotu, traktowana przystępnie w sposób dziennikarski znalazłaby się na właściwem miejscu, w któremkolwiek z pism codziennych. „Emigracya w Niemczech" jest streszczeniem a co najwyżej sumienną kompilacyą. Niepodpisany autor stara się wykazać, że przyczyną wychodźtwa nie są stosunki ekonomiczne, ale administracyjny i militarny ucisk. Prawdopodobniej obie te i wiele innych przyczyn działają jednocześnie. Najmocniej wojuje autor argumentem, że stan majątkowy wychodźców przedstawia się względnie nieźle. Jest to fakt wszędzie powtarzający się, prawdziwi proletaryusze nie emigrują nigdy, bo nie mają za co, ojczyznę opuszczają ci, co proletaryuszami zostać nie chcą a w inny sposób nie mogą tej alternatywy uniknąć. Nie dowodzi to wszakże bynajmniej braku przyczyn ekonomicznych.

„Sesya sejmu galicyjskiego w r. 1884" przez Stanisława Starzyńskiego jest suchem, drobiazgowem sprawozdaniem. Artykuły o stosunkach społecznych i politycznych innych krajów byłyby bardzo pożądane. Rozprawy takie stanowią — że tak powiem — szkołę polityczną, z której dla braku innych korzystać należy. Ale w takim razie powinny mieć one ogólniejszy charakter, stawić kwestyę w sposób zasadniczy. O prądach umysłowych, o partyach politycznych i społecznych w Galicyi ogół nasz posiada bardzo niedokładne wyobrażenie. Krytyczne zestawienie ich programów, bodajby wreszcie praca informacyjna, ale pojęta szerzej — oddałyby czytelnikom wielką usługę. Wyciągi ze sprawozdań i postanowień sejmu w sprawach, mających znaczenie tylko dla Galicyi, w sprawach drobnych, specyalnych nawet czytane nie będą, zwłaszcza, że autor nie próbuje wcale ugrupować danych, oświetlić ich, uogólnić, ale wykłada je na stół po kolei, bez myśli przewodniej, w stylu suchym, bezbarwnym, powszednim.

Inaczej pojął swoje zadanie p. Grzegorzewski. Jego „Zarysy i sylwetki z księstwa Cieszyńskiego" i zaciekawiają i uczą czytelnika. Noszą one może zbyt literacki, feljetonowy charakter, grzeszą niekiedy brakiem wykończenia i ładu, ale na usprawiedliwienie swoje autor przytacza bardzo słuszną racyę. W ostatnich czasach stosunki polityczne na Szlązku zaogniły się, z powodu waśni, jaka podzieliła ludność polską tego kraiku na dwa obozy: katolicki i protestancki. P. Grzegorzewski wyjechał umyślnie do Cieszyna dla przyjrzenia się zblizka położeniu rzeczy, warunki miejscowe zbadał, notatki zebrał i spełniając obowiązek publicysty, ze szkodą poniekąd dla wartości literackiej swej pracy, luźne te fragmenty ogłosił. Ciekawą niezmiernie jest ta kraina polskich chłopów i z bliższego jej poznania wypływa głęboka nauka, zwłaszcza dla polskich panów. Pozostawiony samemu sobie, bez należytego poparcia, bez wskazówek, prowadzi chłop szlązki mrówczą pracę odrodzenia i utrzymania swej narodowości. Uczy się, walczy, tworzy instytucye ogólnego pożytku, wzmaga się na siłach w okolicznościach tak ciężkich, że wobec nich opadłyby nieraz bezwładnie szlachetnie wyhodowane ręce jego starszych braci.

Historya zajmuje poczesne miejsce w naszych miesięcznikach, niejednokrotnie nawet z uszczerbkiem dla innych działów. Pochodzi to bezwątpienia stąd, że wogóle w naszej literaturze naukowej prace historyczne i liczebnie i wartościowo przedstawiają najpoważniejszą pozycyę. Przez wszystkie trzy numery *Ateneum* ciągnie się oryginalna rozprawa młodego i nieznanego autora p. F. Stefczyka p. t. „Upadek Bolesława Śmiałego." Zagadkowa ta chwila naszych dziejów nęciła wielu historyków, którzy mniej lub więcej szczęśliwie starali się rozwikłać pasmo sprzecznych podań i z okruchów nielicznych wzmianek, rozproszonych w kronikach stworzyć całość, odpowiadającą rzeczywistemu biegowi rzeczy. Literaturę o tym przedmiocie dzieli p. Stefczyk na 3 kategorye: tendencyjną, bałamutną i naukową, do ostatniej zalicza tylko prace Lelewela, Maciejowskiego i Skórskiego. Na podstawie wyczerpującej krytyki źródeł, posiłkując się uprawnionemi w nauce hypotezami, przedstawia upadek Bolesława Śmiałego zgodnie w wielu szczegółach z poglądami Lelewela, ale intuicyę tego ostatniego zastępuje poważną metodą naukową. P. Stefczyk w kwestyi powstania państwa polskiego przyjmuje teoryę t. z. szkoły krakowskiej, lecz w pierwotnych dziejach odróżnia okres przejściowy od śmierci Mieszka II do upadku Bolesława Śmiałego, w którym kończy się proces genezy państwa piastowskiego a rozpoczyna historya rozwoju zjednoczonej Polski. W okresie tym żywioły możnowładcze (przeważnie potomkowie książąt udzielnych) pogodzili się już z monarchią piastowiczów, ale w zamian za to dążą do pozyskania uprzywilejowanego stanowiska. Zamiast sprowadzać z zachodu obce prądy dla wytłomaczenia tej dziejowej katastrofy, należy uwydatnić prądy rodzime, a jednym z nich była właśnie walka możnowładztwa z absolutyzmem królewskim. Walka ta miesza się jeszcze przy Bolesławie Śmiałym z współzawodnictwem między Czechami i Polską. Ofiarą tych sprzysiężonych żywiołów padł król, który, jak dowodzi tego śmierć spiskowca biskupa, do ugody i wyrzeczenia się części władzy nie był zdolny. Łatwo pojąć, dla czego w walce z roszczeniami możnowładztwa masy ludu (właściwiej narodu) przychylnie były usposobione dla Bolesława, zwłaszcza że bogata zdobycz, jakiej dostarczały szczęśliwe wojny, pozwalała mu zmniejszać ciężar danin i podatków. Praca p. Stefczyka jest bardzo pomyślnym debiutem, powinien on tylko w przyszłych występach wygładzić nieco styl, wzorowany na pismach starszych jego kolegów w zawodzie pisarskim, którzy wszakże w tym względzie nie mogą za przykład służyć.

P. Jarochowski na podstawie dzieła A. v. Reumont'a w artykule „Król-roman-

tyk" rysuje sylwetkę Fryderyka Wilhelma IV, brata dzisiejszego cesarza niemieckiego. Druga praca tegoż autora nosi także sprawozdawczy charakter: jest to ocena 3-go tomu dzieła Taine'a „Les origines de la France contemporaine." P. Jarochowski ostrzega czytelników, że praca Taine'a jest na wskróś tendencyjną i jeżeli nie ze złą wiarą, to bezwiednie przeinaczająca oblicze dziejowe epoki, zwykle za pomocą przemilczenia pewnych objawów życia. Ostrzeżenie to przyda się bardzo, bo i polski autor w wyborze ustępów zamiast tendencyjność Taine'a osłabiać, owszem uwydatnia ją nieraz. Zdanie wypowiedziane mimochodem: „Ówczesnej Francyi nie zbawiło ani bajecznych czternaście armij, ani teroryzm, ani energia terorystów, ani Marsylianka, ale ocaliła ją po prostu Polska," zdanie to na poważnego historyka jest... zaryzykowne.

W dziale filozofii praca p. Wł. Kozłowskiego „Nowo-kantyzm" jest popularnem, ale szczegółowem i dokładnie przeciętnego czytelnika informującem przedstawieniem przebiegu odrodzenia myśli filozoficznej w Niemczech. Autor nie ogranicza się zresztą tem jednem zadaniem, ale daje zarazem ocenę tego kierunku naukowego i systematu Kanta.

Szczególna uwaga należy się pracy p. Br. Chlebowskiego: „Zadanie historyi literatury polskiej wobec warunków i czynników jej dziejowego rozwoju." W przedmiocie tym autor czytał już referat na zjeździe literackim w Krakowie. Według niego, umiejętne badanie literatury zaczyna się u nas dopiero. Jednem z jego wymagań jest uwzględnienie czynników terytoryalnych i etnograficznych. Dla polskiej literatury ma to tem większą wagę, że proces kolonizacyjny i rozszerzanie się kultury na coraz szersze zakresy w połączeniu z brakiem centralizacyi państwowej — stanowi wybitną cechę naszych dziejów. Autor rozróżnia wytwarzanie się i rozkwit życia umysłowego na pierwotnym obszarze w Wielkopolsce i Małopolsce od późniejszych przejawów jego na terytoryach zdobytych przez pług polski i polską kulturę. Niepodobieństwem jest streszczać szczegółowo przebieg jego myśli. Zaznaczamy tylko, że podnosi on swobodny, cywilizacyjny wpływ żywiołu małopolskiego, najbardziej światłego i wyrobionego politycznie. Upadek umysłowości w XVII wieku przypisuje wyłącznie prawie przeniesieniu ognisk życia politycznego na inną widownię, czego naturalnem następstwem była przewaga żywiołów mazowiecko-litewskich, znacznie mniej ucywilizowanych od swoich starszych braci. Różnica ta przejawia się i w XVIII wieku nawet podczas obrad sejmu czteroletniego, chociaż już wtedy żywioły litewsko-mazurskie sięgają po polityczne a wkrótce potem i po umysłowe przodownictwo w narodzie. Przeciwstawiają one humanitarnym ideałom małopolskiego obozu postępowego swój młodzieńczy patryotyzm, gorący ale niekonsekwentny i szczerą pobożność. Wtedy już jednak zauważyć się daje wzajemne oddziaływanie obu wpływów. Mazowiecko-litewskie uczucia i pojęcia święcą swój tryumf w romantyzmie, po 1830 r. rozszerzają swe panowanie nad całym narodem i w 1863 r. dochodzą do zenitu obalając reformy pokojowe przedsięwzięte przez małopolanina Wielopolskiego. P. Chlebowski w tym ostatnim wypadku zanadto może uwzględnia terytoryalne wpływy, kiedy znowu przy ocenie romantyzmu nie zwrócił uwagi na te jego strony, które objaśnić się dają jedynie niższym stopniem rozwoju umysłowego i politycznego tej części społeczeństwa, z łona której wyszli pierwsi jego koryfeusze. Reakcya po wybuchu 1863 r., która według p. Chlebowskiego oddała jakoby kierownictwo moralne grupie krakowskich publicystów, przedstawicieli małopolskiej kultury i tradycyj prędzej chyba i słuszniej zauważyć się daje w działalności t. z. młodej prasy. Wybitniejszych jej przedstawicieli, o ile mi wiadomo, dostarczyły właśnie małopolsko-ruskie prowincye (Ochorowicz, Prus, Świętochowski, Chmielowski i wielu innych mniej znanych) a postępowe dążenia tej grupy lepiej harmonizują z małopolskiemi tradycyami. Klika stańczykowska niema prawa do takiego pokrewieństwa, pomimo arystokratycznych pretensyj rodowód jej nie sięga tak daleko, datuje się on dopiero — od Targowicy.

Praca p. Chlebowskiego potrzebuje wielu uzupełnień, autor zresztą nie miał pretensyi do wyczerpania przedmiotu — rzucił on tylko szkic projektu, ale szkic ten posiada nie małą wartość.

P. Bełcikowski w monografii o Fr. Bohomolcu zapoznaje czytelnika z postacią pierwszego komedyopisarza polskiego, zasługującego na to miano. Rzecz ta napisana dosyć barwnie i zajmująco trafnie charakteryzuje wesołego ojca jezuitę.

P. Kubary opisuje bardzo szczegółowo „Obrządki pogrzebowe u pelauczyków," praca jego przedstawia pewien interes, ale tylko dla etnologa. Dla zwyczajnych czytelników jest ona za specyalną. Byt pelauczyków przedstawia bardzo wiele ciekawych stron — zwłaszcza ich stosunki rodzinne. Kto jednak niema o tem pojęcia, tego opis p. Kubarego nie zainteresuje wcale.

Nie wiem do jakiej rubryki należy dziwaczna elukubracya p. E. Świeżawskiego: „Myśl do libretta opery z powieści Sienkiewicza." Bałamutna ta gadanina niepotrzebnie pozyskała litość redakcyi.

Powieść Sewera *Zyzma*, przedstawiająca życie inteligentnych izraelitów galicyjskich i usiłowania garstki młodzieży dążącej do rozbudzenia poczucia obywatelskiego w masach żydowskich, rozpoczęta jeszcze w zeszłym roku, teraz zaledwie skończyła się. Do beletrystyki także należy poemat Vrchlickiego „Vittoria Colonna w przekładzie p. Miriama.

Dział krytyczny prowadzony starannie, zwłaszcza w dziale literatury i historyi, oprócz większych ocen zawiera krótkie sprawozdania p. t. „Wrażenia literackie."

L.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Antoni Mazanowski. **Adam Mickiewicz od r. 1829 — 1832.** Życie, rozwój umysłowy, geneza dzieł. Lwów.

Minęły, zdaje się, już bezpowrotnie smutne owe czasy, gdy pragnącym się zaznajomić z życiem sławnego poety wystarczało słów kilka, oznajmujących, że ten a ten, tam i tam się urodził, chodził gdzieś do szkół, uczył się źle lub dobrze, pisał wiersze, umarł, a nad grobem wreszcie przyjaciel ze czcią cnoty zmarłego byle i nie byle wspominał. Inne teraz czasy, inni ludzie, nie było czem się obecnie zadawalniają. To, czego kiedyś najstaranniej przy biografii poszukiwano, dziś się zostawia na uboczu; to, co dawniej pomijano, dziś najtroskliwiej się poszukuje.

Przekonanie, że na każdy niemal utwór poetyczny, składają się stan wewnętrzny poety, jego otoczenie i skala wykształcenia — skierowało krytykę do gruntownego rozbioru w każdym wypadku ważnych tych czynników. Wydobyto stosy zapylonych listów, zapomnianych niemal, chowanych „na pamiątkę," cofnięto się do ustnych podań przyjaciół, korzystających z tej sposobności, by urość na bohaterów, słowem, nie pominięto niczego, coby do wyjaśnienia tej lub owej zagadki, przyczynić się mogło.

Tak postępowali dotychczas krytycy niemieccy, francuscy, angielscy i jeden duńczyk, u nas to rzecz niemal nowa.

Jakkolwiek od śmierci największego poety polskiego lat już przeszło trzydzieści minęło, biografia jego nie okazała się dotychczas, gdyż brakło prac przygotowawczych.

Rozprawa p. Mazanowskiego — to jedna cegiełka więcej, dorzucona dla wzniesienia wspaniałego gmachu. Obejmuje ona zaledwie okres czteroletni t. j. od 1829—1832, skromny zatem co do ilości lat, ale niesłychanie ważny. Czas ten to chwila przełomu w życiu poety, który poznajamia się z cywilizacyą Zachodu, z największym wieszczem Europy Göthem, z Italią; doba ta wywołuje w duszy jego nowe pojęcia lub dawne prostuje, a wreszcie tworzy owe szczerby w zapatrywaniach jego, przez które wciska się marzycielstwo, a za niem mistycyzm.

Praca na oko tylko ponętna; materyał potężny, lecz nie opracowany, mnóstwo sprzeczności, wiele bajek wiele i luk, a przytem—co najtrudniejsze do pokonania—aureola wielkości, otaczająca poetę, nie dozwalała przyłożyć należytej miary do bezstronnego ocenienia.

Pan Mazanowski oświadcza na samym wstępie: „Inne cele i zadania życia społecznego pozwalają nam usunąć z przed oczu mgłę szczególnej sympatyi i antypatyi, otoczyć się pancerzem bezstronności i w ludziach niepospolicie uzdolnionych widzieć nie proroków, nie natchnionych z nieba wieszczów, na których słowie ważą się losy narodu ale... ludzi."

Ze słów tych możemy nabrać jasnego wyobrażenia o sposobie traktowania przedmiotu przez autora, który stara się wiernie przyrzeczenia dotrzymać.

Przewodnią myślą rozprawy jest rozwój umysłowy poety, pod wpływem podróży, towarzystwa, śród którego bawił i wrażeń, jakie odnosił. Najlepiej opracowane rozdziały p. t. Wyjazd za granicę i Drezno— ostatni zwłaszcza pod względem rezultatów nader doniosły.

Mickiewicz, zdaniem autora, wyjeżdżając z Rosyi tak pod względem wykształcenia, jak i stałości wyobrażeń, wielkie posiadał braki—zetknięcie się z filozofią niemiecką, sztuką włoską, a wreszcie i towarzystwo, dokonały wiele.

Dostrzedz jednak można w rozprawie p. M. pewne niedostatki. Stosunek do Ankwiczów niemal niewyjaśniony—bo traktowany za pobieżnie, a przytem układ wydaje się nam wadliwy, wskutek nadmiernego przeciążenia jej cytatami, z których wiele należało opuścić—a wiele do właściwego przenieść tekstu.

Z. L.

PRZEGLĄD SZTUKI PLASTYCZNEJ.

III.

Salon p. Krywulta.

Mierz siłę na zamiary — tak sobie powiedział p. Popiel i namalował wielki obraz „Zdobycie Jerozolimy," na którym widzimy łupiestwo Salamonowej świątyni, pogrom synów Izraela, pędzone w niewolę jego córy, dymy, wznoszące się z palonych domów i żołdaków, plądrujących po świętym grodzie. W głębi tryumfator babiloński przejeżdża się na wozie ciągnionym przez niewolników. Temat olbrzymi — ani słowa, kto wie, czy możliwy nawet dla malarza. Upadek wielkiego miasta, ujarzmienie synów ludu, który wyrobił w sobie taką miłość dla swych plemienno-religijnych ideałów — moment

dziejowy wysoko tragiczny. Kto zna Jeremiaszowe treny, ten wie, jaki to ogrom rozpaczy, smutku i boleści obudził w sercach żydów pogrom babiloński.

Jak ten przedmiot pojął artysta? Przedewszystkiem spokojnie, za pospolicie. Znać, że p. P. niema poczucia dramatyczności, że mu nie stanęła żywcem przed oczyma scena, bo rozrzucił rozmaite mniej lub więcej szczęśliwe grupy, w sposób niewytrzymujący krytyki. Najlepszą z nich jest grupa kobiet i mężczyzn, rozkładająca się na schodach świątyni u stóp arki przymierza — najsmutniej wygląda stojący samotnie stary niby kapłan żydowski a właściwie jakiś nader pospolity Josek lub Szmul, handlarz starzyzny z Wołowej ulicy, przebrany w pontyfikalne szaty. Nie będę zresztą szczegółowo wykazywać słabości kompozycyi, które same rzucają się w oczy — zaznaczę tylko, że w szczegółach p. Popiel okazał się dobrym malarzem.

Architektura świątyni wykonana sumiennie i pięknie, arka przymierza oraz ubiory i materye na pierwszym planie malowane świetnie. Przedmioty martwe bardziej tu żyją niż ludzie.

Niewiadomo jednak, dla czego bardzo właściwie uwydatniwszy w architekturze świątyni wpływy egipskie p. Popiel namalował arkę przymierza bardzo pięknie, ale naznaczył ją charakterem sztuki greckiej w pełnym jej rozkwicie i doskonałości. Wpływy helleńskie do Palestyny wówczas nie sięgały, a jeśli zważymy, że arka przymierza, podług legendy biblijnej, powstała przed przyjściem do ziemi obiecanej, to anachronizm archeologiczny wyda się tem bardziej rażącym.

Lewa strona obrazu, przedstawiająca światło w oddali zupełnie chybiona.

Zanim p. Popiel skutecznie będzie mógł podołać podobnym tematom, musi się nauczyć malować lepiej ciała ludzkie, lepiej malować niebo i budowle na dalszych planach. Że porwał się na taki przedmiot, nie będziemy za to na niego gderać, bo popełnił częsty grzech młodości, która lubi przeceniać swe siły; pragniemy jednak, aby dał rzecz chociaż mniejszą, ale w całości tak dobrą, jak jego miedź, ubiory i makaty.

Nader sympatycznie w ostatnich pracach błysnął talent p. Pruszkowskiego, który umiłował legendę cudowną, ale nie gardzi realizmem. Artysta lubi w takiej „Gwieździe upadłej“ pofantazyować z brawurą, rzucić na przezrocze tło nieba mglistą, splątaną postać strąconej ze stropu niebieskiego kobiety, na której czole płonie lecąca ku ziemi gwiazda. Ta symbolika z natury rzeczy musi być niejętą — a nikt z pewnością nie weźmie za złe artyście, że malując nikłe, rozwiane kontury spadającej postaci, rzucił także na płótno dużo mgły, która z chaosu urabia się dopiero w kształty określone... Jest to fantastyczna igraszka pędzla, który w „Procesyi Matki Boskiej Zielnej“ zdobywa się na łudzącą prawdę... Z tego obrazu tchnie ku widzowi atmosfera kościoła wiejskiego, pełna kadzideł i aromatów zielnych. Wszystkie te figury śpiewają chociaż ich nie słychać, ruch procesyi uchwycony wybornie, a wiejskie typy pełne życia i charakteru.

P. Pruszkowski nieidealizował fałszywie, nie muskał ani ogładzał postaci, ale umiał pogodzić trafną charakterystykę z pewnym wdziękiem, musiał wybrać rysy sympatyczne, a malował śmiało, szeroko, doskonale oddając mieniącą się grę świateł wśród gorącego powietrza.

Fantastyczny obrazek tegoż artysty „Smok“ zaleca się także oryginalnością. W jamie spoczywa dziewica przeznaczona na pożarcie straszliwej poczwarze, która wysuwa się z głębi pieczary, gdzie buchają czerwone płomienie. Trzeba istotnie niemałej fantazyi, aby przedstawić w duchu ludowym tego bajecznego potwora w sposób plastyczny i łudzący. Jest to gad wielki, rodzaj potwornej jaszczurki z wielkiemi błyszczącemi oczami. Wysuwa się powoli, z gęby leci mu ślina, w tych oczach rozpalonych jak dwie latarnie w całej postaci widać łakomstwo drapieżnika, czyhającego na krwawą biesiadę. Smok lepiej się udał artyście aniżeli ofiara, wiejska dziewczyna, która siedzi, czy stoi w niezrozumiałej pozycyi, przymknąwszy ze strachu oczy.

W każdym razie p. P. odtworzył fantastyczne widziadło tak oryginalnie i wyraziście, że kto raz zobaczył jego ohydną głowę z pewnością nazawsze ją zapamięta.

Że oryginalność jest najgłówniejszem znamieniem talentu, powinnaby o tem pamiętać pani Bardzka, która dała znów parę ładnie i miękko malowanych studyów. Czemu jednak artystka ciągle sili się na ton archaistyczny, czemu naśladuje starych mistrzów? Dobre to było w początkowych studyach, ale kto posiada tyle malarskich zdolności i zdobył już taką technikę, to powinien zacząć coś tworzyć sam przez się.

Dlatego też nie wspomnę nic o innych luźnych płodach naśladownictwa lub o dziełach, na których znać dopiero wydobywanie się talentu ze szkolarskich pieluch. Znowu tylko gorąco pochwalę p. Kochanowskiego za jego śliczny pejzaż zimowy, oparty na prostych i skromnych motywach, a tchnący jakimś smętkiem nieokreślonym.

Nic tu nadzwyczajnego: płoty, opłotki, śnieg tający z odwilży, tu i owdzie wystaje z pod niego szmatek ziemi, w dali chaty i zabudowania wioskowe, wszystko pogrążone w lekkim mroku, malowane prawdziwie ale z pewnym wdziękiem bez lubowania się w kałużach i brzydocie.

Obrazek to piękny ponieważ artysta umiał tu po swojemu chwycić prawdę i oświecić ją pewnym smętkiem licującym z zimowym snem przyrody.

Rozumie się, że kończąc przechadzkę po drugim artystycznym salonie nie ominiemy p. Fałata, który zamaszyście namalował Marysię czy Kasię, jak trzyma w ręku nóż a pod pachą kurę, na której za chwilę dokona katowskiej operacyi. Znać, że Marysia niewzrusza się nad „kurachną“ jak sentymentalna panienka, która potem ze smakiem obgryza skrzydełka upieczonej ofiary. Jest to nasza zwykła kuchenna nimfa, niezbyt lubująca się w elegancyi, z potarganą głową. Gdybyśmy chcieli przypisywać artyście głębsze intencye, to powiedzielibyśmy, że chciał przedstawić zwykły dramat spożywczy, spokojne okrucieństwo silniejszego ludzkiego rodzaju, który karmi się słabszym. Niewiem, czy tak myślał p. Fałat, ale to wiem, że z siłą wyjątkową, jak na akwarellę, przedstawił postać kuchennej nimfy, że był prawdziwym i typowym w każdym szczególe. Realizm p. Fałata jest zupełnie wiernym, oryginalnym w naturze, ale ma znakomitą ekspresyę, która go ratuje od pospolitości.

S. K.

LIBERUM VETO.

Uwaga Machiavellego. — Rozdział starej historyi p. t. „Piramidalne niedorzeczności.“ — Za połowę dochodu. — Słodko i uczciwie. — Charaktery tęgie. — Ćwiertowanie ojczyzny. — Zdanie Prusa. — Kontrapunkt.— Wystawa kucharska i jej znawcy. — Dowcip p. Stępkowskiego. — Nasza chwila.

„Ludzie mniej czują skrupułu w obrażeniu tego, co budzi miłość, niż tego, co przejmuje trwogą.“ A stary Machiavelli znał ludzi! Jego uwaga sięga swą słusznością do naszych czasów i sięgnie po za nie. Dotąd daleko więcej gruczołów żółciowych i jadowitych otwiera ten, kto wywołuje sympatyę, niż ten, kto sieje postrach. Odwieczna to historya a najnowszy jej rozdział w naszem życiu zatytułowano: „piramidalne niedorzeczności.“

Stara, od pewnego czasu wydająca na świat skarlałe i ułomne dzieci Dania urodziła przed 42 laty syna, który w jej losach miał odegrać ważną rolę — odmłodzić swą matkę. Bardzo wcześnie, bo już na uniwersytecie objawił on wielki talent badawczy i niezwykłą wiedzę. Ale gdy młoda głowa zajaśniała światłem, rozdzierającem ciemności i płoszącem królujące w nich nietoperze, spadły na nią gromy i klątwy. Zuchwały burzyciel, który chciał porozbijać rozmaite rudery tradycyjne i na ich miejscu wznieść nowe przybytki dla życia narodowego, został wygnany z ojczyzny i musiał tułać się po obcych krajach. W czasie tej tułaczki zdobył tak szeroką sławę, że go postawiono w rzędzie najpierwszych krytyków europejskich. Ale ta chwała, chociaż go z tryumfem powróciła do ojczyzny, nie ubezpieczyła mu życia. Znakomity autor pozostał biednym, tak biednym, że jako wędrowny prelegent musi zarabiać na utrzymanie rodziny. Miewa wykłady publiczne w Amsterdamie, Frankfurcie, Berlinie, Wiedniu i zarobkiem z nich osiągniętym umożliwia sobie dalszą działalność naukową. Tego słynnego biedaka poznał w Kopenhadze jeden z lekarzów warszawskich i zarazem członków Towarzystwa Dobroczynności, który mu zaproponował przyjazd do nas z odczytami na dochód tej instytucyi. Dla człowieka, który jako docent uniwersytetu nie pobiera żadnej pensyi, który żywi siebie i rodzinę jedynie z pióra i prelekcyi publicznych, który przybywszy do Warszawy, musiał sobie sprawić porządniejsze ubranie, bo go nie miał — taka podróż na własny koszt była niemożliwą. Zapewniono mu więc połowę dochodu — i on, który polaków i Warszawy dotąd nie znał, którego żadne stosunki, żadne zobowiązania nie skłaniały do ofiary—zgodził się. Przyjechał, bawił kilka tygodni, zarobił Towarzystwu Dobroczynności kilkaset rubli, powróciwszy do Kopenhagi nakreślił tak serdeczny obraz naszego życia, że słuchacze, pierwszy raz dowiadujący się ciekawych rzeczy o nieznanym a obmawianym i spotwarzanym narodzie, wydawali na cześć naszą okrzyki zapału.

I jakże odwdzięczyliśmy się temu znakomitemu i uczciwemu człowiekowi?

Co *Wiek* powiedział o „młodym izraelicie duńskim,“ przytoczyliśmy w zeszłym numerze *Prawdy*. Posłuchajmy teraz czułego kronikarza *Biesiady literackiej*.

„Podziękowałem słynnemu Brandesowi za jego prelekcye na korzyść Towarzystwa Dobroczynności — nazwałem je szlachetną ofiarą; pochwaliłem się zaufaniem cudzoziemca, który ojczyznę swoją rozciągnął przed nami na stole prosektorskim (!) — a teraz przekonywam się, żem powiedział *piramidalne niedorzeczności*. Kolega mój w *Bluszczu* wydał *tajemnicę* (!!!) uprzejmości Brandesa — za prelekcye *dobrze* mu zapłacono; z dzienników niemieckich dowiedziałem się, że Brandes jak przed nami ojczyznę swą ćwiertował (!), tak samo ćwiertował ją przed największymi wrogami swego kraju (*nb.* nieprawda). Prelegent prawnie wiedzę swą spieniężа i *niedolę* Danii pokazuje *każdemu, kto uraga* narodowi w pętach niemocy. Mój Brandes „poczciwiec“ to tęga głowa, ale *nietęgi charakter*.“

I to się nie nazywa paszkwilem dlatego, że obrzuca błotem — duńczyka. A jednak wstecznicy kopenhagscy powinniby sobie sprowadzić p. Sępa, któryby im dzielnie służył, może nawet komenderował jakimś oddziałem pod chorągwią szkalowania „literackiej lewicy“ i głównego jej wodza. Bo tylko zastanówmy się nad tymi kilkoma wierszami, ile w nich „piramidalnych niedorzeczności.“

Przedewszystkiem co to są za „tęgie charaktery,“ które napadają na cudzoziemca za to, że tylko połowę swego zarobku odstąpił warszawskiej nędzy? Czy to ludzie znani ze swej ofiarności, którzy miewają odczyty na wyłączną korzyść biednych, którzy pełną ręką sypią jałmużnę? Bynajmniej — nic o tem nie wiemy. Na tej katedrze, na której „młody izraelita duński“ zapracował kilkaset rubli ubogim Warszawy, nie widzieliśmy żadnych Sępów i sępom podobnych. A może to są klakierzy przeróżnych śpiewaczek i muzykantów zagranicznych, których w pismach oklaskują i hołdami czczą za to, że od nas tysiące rubli wywożą?

Właśnie — ci sami. Rossi, Bülow, Tua— to wielkie charaktery, Brandes—„nietęgi.“

Ów Brandes ma być podłym handlarzem, bo „niedolę Danii pokazuje każdemu, kto urąga narodowi w pętach niemocy,“ bo „ćwiertuje ojczyznę.“ Dla oszacowania tej obelgi wystarczy fakt, że Brandes „niedolę Danii“ pokazywał tylko nam i nigdzie swej „ojczyzny nie ćwiertował.“ Kto nie był na jego odczytach, może je nabyć za kilkadziesiąt kopiejek w przekładzie polskim i przekonać się, z jakim smutkiem mówił on o zewnętrznych i wewnętrznych walkach swego narodu, jak wierzy w jego przyszłość. „Będąc już dostatecznie rozwiniętym (po r. 1864) dla postawienia dyagnozy stanu duchowego Danii, uczułem przejmujący i trwały odtąd ból. Widziałem chorobę i zapytywałem siebie, w jaki sposób ją leczyć. Naród doznawał uczucia istoty, wyłączonej przemocą z cywilizacyi europejskiej. Stojąc niby za szczelnie zamkniętemi drzwiami, łamał sobie głowę, jak je otworzyć. O ile się zdawało nadziei nie było żadnej. Chociaż uderzała w nie żelazna pięść r. 1864, drzwi pozostały zamknięte. W r. 1866 los historyczny pukał znowu do drzwi owych, zdawało się nawet, że wypadki r. 1870 przytrzymały je jeszcze silniej stalową prawicą. Drzwi otwierały się na zewnątrz, trzeba było tedy z wewnątrz odsunąć zasuwkę.“ W znacznej części dokonał tego Brandes — a uprzytomnienie nam przez niego tej chwili nazywa się „ćwiertowaniem ojczyzny.“ Tak się mówi o znakomitych pisarzach i wielkich obywatelach słodziutkim, sentymentalnym języczkiem.

W wykładzie swoim „rozciągnąwszy ojczyznę na stole prosektorskim“ powiedział Brandes, że „literatura duńska jest dziś żywotniejsza od niemieckiej.“ „Otóż — pisze Prus w *Kuryerze warsz.* — życzę szanownemu koledze (z *Biesiady*) i samemu sobie, ażeby nas obu w taki sposób „poćwiertowano.“ Uważałbym zaś za wielkie szczęście dla naszego społeczeństwa, gdyby w niem znalazł się krytyk, który w swoich dziełach, a także w Wiedniu, Berlinie, a nawet Kopenhadze zawiadamiałby świat ucywilizowany, że „literatura polska jest żywotniejszą od niemieckiej.“ Bodajżebyśmy byli jak najczęściej tak ćwiertowani. Oto, co się nazywa żartować ze swoich czytelników. Szczęściem dla kraju, choć nieszczęściem dla nas, nasi czytelnicy przerastają nas rozsądkiem i na podobne plewy łapać się nie dadzą.“ Co zaś do złorzeczeń za ową połowę dochodu, słusznie pyta Prus: „Czy to nie przypomina zuchwałych dziadów, którzy, żebrząc na rogu ulicy, rzucają swoim ofiarodawcom pod nogi dziesiątkę, dlatego, że nie dostali złotówki?...“

Dziwny, charakterystyczny kontrapunkt ułożył się z „piramidalnych niedorzeczności!“ Podczas gdy w Kopenhadze, po odczycie Brandesa o polakach, wykrzykiwano słowa sympatyi dla nas, jednocześnie w Warszawie obrzygiwano „nietęgi charakter duńskiego żydka,“ który to uniesienie wywołał! Zaiste, nie wszyscy mamy prawo łajać Sacher-Masochów!...

Biesiada literacka przygotowała prawdopodobnie na wystawę kucharską jakiś sentymentalno-płaczliwo-czuło-gryzący sos ze swoich—jak Prus nazywa—„plew,“ ale widocznie nikt tego specyału nie kosztował, bo w pismach nie znalazłem osobnej dla niego pochwały. Tymczasem inni kucharze—np. fabrykanci zegarków, szczotek, wyrobów platerowanych itd.—byli szczegółowo odznaczeni. Przyznać jednak muszę, że właściciele produktów, które można było jeść i pić na miejscu, doznali ze strony sprawozdawców szczególnej wdzięczności. A oceniali podobno wszyscy dzieła sztuki z rzetelnym... apetytem, wrzucając do skarbonki dla biednych (wstydź się Brandesie!) grosze lub guziki i szkiełka. Zjeść kapłona łatwiej, niż przeczytać książkę; to też krytycy spieszyli się niezmordowanie. A jaką biegli musieli wzbudzić zazdrość w oddalonych widzach sądu, wskazuje żal *Medycyny*, która uskarża się, że „na członka komitetu żaden lekarz zaproszonym nie został,“ któryby zawyrokował, „czy wystawiono okazy były zdrowo przyrządzone.“ Zdaje mi się, że szan. hygienista może być spokojnym, o ile „jury“ i „widzowie“ nie przekroczyli granic wstrzemięźliwości; na targach i w restauracyach przydałoby się oko lekarza, ale na wystawie—tylko jego apetyt.

Przeczuł to miłośnictwo sztuki krajowej p. Stępkowski, bo wystawił tylko swój cennik, czego mu sprawozdawcy darować nie mogą, a ofiarodawcy guzików i szkiełek — tembardziej.

Wystawa tedy była tanią, najtańszą kuchnią, a jednocześnie pomnikiem chwały minionej lub mijającej. W Europie jesteśmy sławni z umiejętności przyrządzania potraw i jedzenia. Zagranica nawet (która z tego talentu ułożyła zaszczytne dla nas, a nie zaszczytne dla niemców przysłowie), powiada, żeśmy przejedli i przepili zdrowie, mienie, rozum... Zapewne, jedliśmy i piliśmy dobrze. Ale niedługo nie będziemy mieli co do jedzenia. Los nas skazał na dyetę—wchodzimy w okres kleiku i pomników z czekolady.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Smutna statystyka.—Trzecia część niewypłacalnych.—Zmiana widoku. — Ekonomia zamiast polityki. — Agenci angielscy, *Reforma* i *Dniewnik*. — Co mamy do zbycia. — Psy wściekłe i złodzieje. — Niegrzeczne przyjęcie. — Reforma szkoły elementarnej.

Gdybym powiedział gołosłownie, że śród ziemian naszych zbliża się do wybuchu bankructwo, nieuleczalni optymiści, których nic nie zdoła odciągnąć od wiary, że „ta burza przejdzie, jak inne“—zarzuciliby mi może sianie szkodliwego wiatru. I doprawdy, wolałbym uledz takiemu posądzeniu i zasłużyć na nie, niż zapisywać twarde dowody—cyfry, potwierdzające smutny domysł. Dyrekcya szczegółowa kielecka wystawiła na sprzedaż 260 dóbr ziemskich za zaległości drugiej, wymagalnej w grudniu r. z. raty poborowej. Rzeczywiście suma wykazanych do licytacyi majątków bywa zwykle znaczną i przed wpływem ostatecznego terminu spada, ale tak wielką chyba nigdy nie była, gdyż 260 dóbr—to *trzecia część* wszystkich w oddziale kieleckim Towarzystwa kredytowego. Tak wielką? Względnie do obecnych warunków handlu zbożowego jest ona za małą. Gdyby w kieleckiem tylko trzecia część ziemian zawiesiła wypłatę rat Towarzystwu, możnaby to uważać za objaw stosunkowo pomyślny. Zboże nie ma dziś kupców, a szlachcic polski zwykle nie miał pieniędzy. Takich, którzy uzbierali kapitał zapasowy, mogą nim teraz przetrzymać biedę i dźwignąć gospodarstwo w innym kierunku—znalazłoby się bardzo niewielu. Wzorowym obywatelem był już ten, który umiał związać koniec z końcem, złożyć wszystkie ofiary na ołtarzu „stanowiska,“ mody, szyku i wygodnego życia. Na tych często poczciwych i pracowitych, ale nieoględnych, lekkomyślnych, łatwowiernych i gołych ludzi spadła wielka katastrofa ekonomiczna, której zaledwie podołać mogą doświadczeni, rozważni i zasobni—czyż byłoby dziwnem, gdyby bankructwo roztoczyło się szerzej, niż w trzeciej części?

Z obecnych strat i kłopotów ziemianin polski wyjdzie zrujnowany, ale miejmy nadzieję, że naukę z nich wyciągnie. Może nigdy kraj nasz nie przedstawiał takiego widoku zajęcia się sprawami ekonomicznemi śród „obywateli.“ Polityka poszła w kąt—a z nią wszystkie złudzenia i mgły zaściankowej dyplomacyi, w których najchętniej przebywał epikurejczyk polski. Kiedy młodsza generacya publicystów naszych wzmacnianie ekonomicznych sił społeczeństwa stawiała na pierwszym planie programu narodowego, a nawet wskazywała w niem promienną przyszłość, szydzono z „wynaturzonych“ proroków, jeśli ich nie obrzucano błotem. I oto dziś spojrzenia wszystkich zwróciły się w tę stronę, w którą niedawno jeszcze ledwie trzeźwiejsze umysły spoglądały. Co za olbrzymia zmiana! Porównajmy obecny nastrój społeczeństwa z nastrojem przed 15 lub 30 laty—nie sięgając już dalej! Tam myśl większości tkwi i obraca się w formach politycznych, układa sobie łamigłówki dyplomatyczne, oblatuje ciągle całą Europę, widzi szczęście w niespodziankach, cudach, gwałtownych przewrotach a zawsze z uchem przytkniętem do dziurki klucza gabinetów ministeryalnych — teraz zamknęła się w kraju, w jego sprawach domowych, materyalnych, nie błądzi ani po Egipcie, ani po Indyach, chociaż ją wypadki tam nęcą. Zaczynamy być pozytywni, praktyczni, realni i trzeźwi. Z tego zwrotu, śród klęsk i nieszczęść, wypłynie dla nas niewątpliwa korzyść, a zdobędą ją naprzód przeprowadzeni przez ogień życia—ziemianie.

Dniewnik warszawskij pisze: „Krakowskiej *Reformie* donoszą z Warszawy, że w Królestwie polskiem pojawili się jakoby agenci angielscy, usiłujący pobudzić ludność tutejszą i wywołać dywersyę pożądaną dla spraw środkowo-azyatyckich. Korespondent obawia się, ażeby oni nie znaleźli „w nieoświeconej masie“ zbyt wielkiego, nagromadzonego obecnym systemem rządzenia „zapasu rozpaczy (*otczajanija*).“ Pozwalamy sobie mniemać—twierdzi *Dniewnik*—że „zapas rozpaczy“ w „nieoświeconej masie“ ludności polskiej jest wcale niewielki, a natomiast w masie, uważającej się za oświeconą, rzeczywiście nie mało materyału palnego. To też z najwyższem współczuciem powtarzamy następujące słowa *Reformy*: „Polityka angielska (tłomaczymy z przekładu *Dniewnika*) nie przewidziała w porę grożącego jej niebezpieczeństwa, a spotkawszy się z niem, gotowa w krytycznej chwili chwycić pierwszy nadarzający się środek; jest ona zbyt niesumienna i egoistyczna, ażeby cofnąć się przed czemkolwiek. Co dla niej znaczy przelać krew polską, jeśliby przez to miała nadzieję osłabić energię przeciwnika, osłabić choć trochę swobodne siły Rosyi w chwili decydujących działań w Azyi? Co by ją to obchodziło, gdyby do nieszczęść, jakie na polaków spadły w szóstym dziesiątku lat, przybyły nowe i zniszczyły skromne rezultaty pracy pokojowej, skierowanej do zachowania sił narodu? Nietylko wszelki ruch, ale nawet częściowe pokuszenie byłoby na rękę tylko wrogom polonizmu. Czyż łudzimy się nadzieją, że w takiej chwili ktokolwiek przyjdzie nam z pomocą? Czy zbawiać nas mają ci, którzy sami sprowadziliby na nas nieszczęście? Nie, wtedy krew polska popłynęłaby na korzyść tych, którzy nigdy nie podali nam

ręki, na korzyść Anglii, tej mistrzyni wszelkiego handlu! Bądźmy więc ostrożni, ażeby z nas nie zrobiono narzędzia cudzych interesów i potem nie poświęcono na ofiarę.“

Zbyteczne ostrzeżenie! Polski szlachcic, ogłaszany przecie za najburzliwszego, myśli obecnie tylko o sprzedaży zboża lub zmianie systemu gospodarstwa. Jeśli tedy agenci angielscy chcą kupować u nas pszenicę, będą przyjęci z otwartemi rękami; ale „środkowo-azyatyckie sprawy“ — to nie „business“ — dla nas.

Z gubernii mińskiej skarżą się po pismach na psy wściekłe i złodziei — co za grymasy! Kto tam dziś na takie drobiazgi uważa! Do psów wściekłych powinniśmy byli przyzwyczaić się oddawna, a do złodziejów od lat paru także. To bardzo już cywilizowani obywatele. Jeden z nich ukradł jakiemuś Józefowi portmonetkę z Listami zastawnymi, które przysłał mu w dzień imienin jako podarek. Maluczko a takąż samą wspaniałomyślność okazywać będą złodzieje prowincyonalni. To też uważam za niesłuszne zbytnie uniesienie pewnego rządcy folwarku za rogatkami Mokotowskiemi, który, obsaczony w nocy przez bandę opryszków, jednemu z nich w łeb palnął. Naprzód zabity nie zrobi już nigdy żadnemu Józefowi „miłej niespodzianki,“ a powtóre, czyż wypada tak niegrzecznie witać nieproszonych gości? Biedny rządca tłomaczy się, że strzelał „w ciemność“ — „dla strachu,“ bo niema odwagi przyznać się, że stanął w obronie swego mienia i życia. Zabić zbója—to jest jeszcze występkiem!

Od pewnego czasu zmuszony jestem donosić czytelnikom prowincyonalnym rozmaite nowiny, które następują po sobie bardzo szybko a które podaję bez uwag. Czytam tedy w *Gazecie warszawskiej*: „Według prawa z r. 1864, gminom Królestwa Polskiego służyło prawo wyboru nauczycieli w szkołach elementarnych. Wszelako władze szkolne, niezadowolnione z wyborów gminnych, po największej części nie zatwierdzały tych wyborów i wyznaczały nauczycieli z własnego ramienia. Obecnie, jak donoszą *Nowosti*, praktyka ta administracyjna ma otrzymać w Radzie państwa sankcyę prawną, i na przyszłość nauczyciele ludowi będą już nietylko *de facto*, ale i *de jure* mianowani przez dyrekcye szkolne. Kwestya języka wykładowego w szkołach elementarnych Królestwa, podniesiona przed kilku laty, ma być rozwiązana zgodnie z wnioskami warszawskiego okręgu naukowego. Językiem wykładowym wszystkich przedmiotów, oprócz katechizmu, ma pozostać nadal język rosyjski, wykład jednak języka krajowego będzie dopuszczany.“

A. C.

Łódź. Gorące życzenia zostały spełnione. Ministeryum oświaty przyjęło 27,000 rs., ofiarowanych przez miasto na utrzymanie gimnazyum męzkiego i żeńskiego, zezwalając na utworzenie tych zakładów. Na budowę pierwszej z tych szkół istnieje zapis Schejblera 60,000 r.; druga musi tymczasowo poprzestawać na gmachu wynajętym. Jednocześnie ministeryum zatwierdziło projekt przekształcenia tutejszej szkoły rzemieślniczej na wyższą — handlową.

Piotrków. Między Łaskiem a Pabianicami gospodarzy banda rabusiów należycie uzbrojona. Ostatnim jej czynem jest napad na włościan wsi Dobruń — gdzie poczęstowała broniących się kilkoma kulami, uprowadziwszy bezkarnie dobytek.

We wsi Pomiechowo przy kolei Nadwiślańskiej, Adam Michałowski, urlopowany żołnierz, karany kilkakrotnie za różne wykroczenia: 1) zabił strażnika ziemskiego. 2) strzelił z rewolweru do wójta, 3) strzelił do ławnika, 4) podpalił dom włościanina — wszystko to za jednym zamachem. Wójta i ławnika nie zabił, gdyż nie wiedział, że skradziony rewolwer był nabity tylko prochem.

W Radomiu p. Z. Dębski miał odczyt: „O prawie i karze wobec wolności woli“ — kwestya bardzo ciekawa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 26 marca.

Wojna Anglii z Rosyą o posiadłości azyatyckie ciągle jeszcze tu i owdzie uchodzi za „nieuniknioną“ — jeżeli... Zdaje się wszakże, że owo „jeżeli“ będzie załatwionem na korzyść pokoju, tj. obie strony cofną swe wojska na przyzwoitą odległość i *tymczasowo* widnokrąg się rozjaśni. Bo że kiedyś nad Afganistanem zetrą się dwie groźne chmury, o tem tak nikt nie wątpi, jak o tem, że europejska kwestya wschodnia wraz ze wszystkiemi swemi odnogami musi być prędzej czy później wycięta w tym zakresie, w których szerzy polityczną zgniliznę.

Jenerał Graham pobił Osmana Digmę, a wojska francuskie znowu coś zdobyły w Tonkinie — mimo to obie sprawy nie posunęły się ani o krok naprzód. Kiedy ślimacze łańcuchy drobnych utarczek dobiegną do swego ostatniego ogniwa— dziś, począwszy od Ferrego i Gladstone'a a skończywszy na dyplomatach czarnej kawy, nikt nie próbuje przepowiedzieć. Obie wojny przeszły w stan chroniczny, na który niema zapewne rady nawet taki śmiały chirurg, a obecnie terapeuta polityczny, jak ks. Bismark.

W tym roku kończy on 70 lat życia. Czciciele jego urządzili składkę narodową, wynoszącą dwa miliony marek — czy więcej. Komitet gospodarczy wpadł na myśl kupienia kanclerzowi w prezencie jego dóbr rodzinnych Schönhausen. Solenizant zgodził się — ale w łonie ofiarodawców i podkomitetów powstała gwałtowna opozycya przeciwko tak prozaicznemu zużytkowaniu składek. Przypuszczano — naiwni! — że Bismark przeznaczy je — na cel dobroczynności. On tymczasem, polityk „realny,“ zgodził się na dobra Schönhausen, a chłostany ze wszech stron komitet nie wie teraz, jak z tego „realizmu“ wybrnąć. Naturalnie, stanie się według *jego* woli.

Włochy przedstawiają obecnie dziwny widok — mają wszystkie uniwersytety zamknięte. W Neapolu studenci wzburzyli się z powodu... umowy rządu z towarzystwami kolejowemi, w Padwie — z powodu zakazu wmurowania w bramę uniwersytecką obrażającej Austryę tablicy pamiątkowej dla patryotów poległych w r. 1848, w Turynie — z powodu niedopuszczenia demonstracyi w rocznicę zgonu Mazziniego, w Bolonii, Palermie, Rzymie — z powodu więzienia kolegów turyńskich itd. Wszędzie studenci postawili swe warunki, czyniąc od nich zależnem uczęszczanie na lekcye; ostatecznie przyszło do starć z wojskiem i policyą, po czem uniwersytety zamknięto. W rozruchach przyjmowali udział i profesorowie. Jest to chyba największa rewolucya studencka.

Następca tronu austryackiego z żoną odwiedził księcia czarnogórskiego, a prasa przypisuje tym odwiedzinom więcej interesu, niż grzeczności.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Teatr rosyjski w Warszawie — jak zapewniają *St. Pet. Wiedomosti* — wkrótce ma być urządzonym.

„Zaraz po zamianowaniu głównym naczelnikiem kraju generał-adjutanta Hurko, w warszawskiem rosyjskiem towarzystwie zrodziła się myśl utworzenia kółka miłośników sztuki dramatycznej i muzycznej. Myśl tę generał-gubernator przyjął bardzo sympatycznie i bieżącej też zimy została ona przez członków klubu rosyjskiego wprowadzona w wykonanie. W ciągu całego sezonu na bardzo małej jego scenie dawano widowiska, przyciągające masę publiczności, co jest nowym i bardzo pozytywnym dowodem koniecznej potrzeby posiadania w Warszawie stałej sceny dramatycznej.

Zdawało się, że nie mogło być nic łatwiejszego, jak zebrać trupę i w przekonaniu o sympatyi zarządu miejskiego oraz dość wielkiej części ludności, dawać przedstawienia w jednym z teatrów. Idzie wszakże o to, że Warszawa, podobnie jak obie stolice, ma teatry cesarskie i nimi jest zepsuta, dlatego też antrepryza prywatna, bez poparcia rządowego, jest tam rzeczą stanowczo niemożliwą.

W celu zaspokojenia tej niewątpliwie społecznej potrzeby, jeszcze w roku ubiegłym zarząd generał-gubernatora rozpoczął układy w Petersburgu o urządzenie na początek choćby czasowego rosyjskiego teatru w Warszawie, z możliwie dobremi artystycznemi siłami i z pewnym zasiłkiem pieniężnym od zarządu naczelnika kraju. Obecnie dowiadujemy się, że zamiar powstały w zeszłym roku, w ciągu bieżącej wiosny będzie wprowadzony w wykonanie. Jednemu z doświadczonych pracowników teatralnych polecono w charakterze głównego reżysera sformowanie dobrej trupy z najlepszych sił dramatycznych teatrów petersburskich i moskiewskich, na pierwszy raz na 14 przedstawień, które mają być dane w terminie jednomiesięcznym, od połowy maja do połowy czerwca, w jednym z teatrów miejskich, oddanym trupie bezpłatnie wraz z całym znajdującym się w nim majątkiem.

Zamierzony repertuar ma się obowiązkowo składać z oryginalnych utworów dramatycznych i głównie ze sztuk charakteru obyczajowego. Konieczna suma wydatków na każde widowisko jest poręczona przez zarząd generał-gubernatora. W skład trupy zaproszeni zostali panie: Fedotowa, Sawinowa, N. Wasilewowa, Jermołowa, Abarinowe 1-a i 2-ga, Lenska, Aleksandrowowa i pp. Warłamow, Dawydow, Sazonow, Ardi, Rieszimow, Grekow, Kaszirin i inni. Niektórzy z nich są zaproszeni na gościnne występy, a większa część na całą ilość przedstawień. Na pierwszy sezon teatralny wybrano utwory: Gogola, Ostrowskiego, Potuchina, Awerkiewa i Sołowiewa; większa część sztuk w każdym razie będzie A. N. Ostrowskiego. Każda sztuka będzie dana po jednym razie, a to z powodu ograniczonej liczby widowisk. Wszelkie przynależytości przedstawień oraz osobisty skład artystów do niewielkich ról będą z Petersburga.“

Nowosti, okarżone przez *Nord. Allg. Ztg.* o sprzyjanie polakom, wyprzysięgają się tej zbrodni:

„Nasza gazeta w ciągu 9 lat swego istnienia o tyle zdołała uwydatnić swoje zadanie i kierunek, że oskarżenie ją o polskie tendencye powinno wydać się czytelnikom niedorzecznością. Wśród współpracowników swoich *Nowosti nie mają polaków*, wychodzą zaś za te same pieniądze, co większość dzienników, tj. za pieniądze swych prenumeratorów, w liczbie których osoby polskiego pochodzenia stanowią *nic nieznaczącą* mniejszość.“

Niniejszem—kwitujemy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy. Włodzimierz Młocki, umierając w r. 1861 zapisał swój majątek na wsparcia dla niezamożnych studentów i uczniów. Rodzice jego w r. 1863 zrzekli się przypadającej im połowy spadku pod warunkiem, że najstarszy z rodziny Młockich będzie rozporządzał 300 rs. funduszu stypendyalnego rocznie. W r. 1882/3 ówczesny senior, p. Jakób Młocki, przyznał 100 rs. uczniowi ze szkoły prywatnej Babińskiego. Ponieważ rektor uni-

wersytetu, który według zapisu ma wydawać przekazy do Towarzystwa kred. ziem. na podniesienie sumy dla kandydata, po porozumieniu się z kuratorem, podpisu swego odmówił a nadto p. Jakóbowi Młockiemu zwrócił podanie, jako pisane po polsku, ten więc wystąpił z procesem. Sąd okręgowy wyrokiem z 17 grudnia 1883 r. zobowiązał rektora do podpisu; działająca w imieniu władzy szkolnej Prokuratorya wniosła apelacyę do Izby, z jednoczesnem żądaniem uznania nie właściwości sądu. Otóż Izba żądanie to uchyliła.

Konkurs imienia Pauliny Krakowowej na dziełko dla dorastającej młodzieży żeńskiej, ogłoszony przez *Tygodnik ilustr.*, został rozstrzygnięty. Pierwszą nagrodę (rs. 300) przyznano powieści p. t. *Księżniczka*, której autorką jest p. Zofia Urbanowska.

Wydalanie. Władze pruskie ogłaszają, że wydane już zostały przepisy wydalania osób, pochodzących z Królestwa polskiego, gubernii kowieńskiej i kurlandzkiej, a nieposiadających odpowiedniej legitymacyi i środków do życia. Procedura prosta: landrat porozumiewa się z naczelnikiem nadgranicznego powiatu i w umówione miejsca odstawia wydalonych.

Karność. Papież dozwolił izraelicie węgierskiemu br. Popperowi poślubić katoliczkę bez zmiany wyznania. Gdy na konsystorzu węgierskim, zwołanym dla objaśnienia tej dyspensy, niektórzy biskupi wyrazili niezadowolenie, kardynał zamknął im usta słowami: „Rzym powiedział—sprawa skończona.“ To karność!

Ignacy Warmut (krakowianin), znany publiczności naszej tenor, występował z wielkiem powodzeniem w Gracu. Obecnie zaproszony został jako pierwszy tenor do teatru narodowego w Sztutgarcie, dokąd udaje się w połowie kwietnia.

Tyfus głodowy zaczął się szerzyć w Galicyi. Z Przemyśla przybyła do Lwowa deputacya, prosząc o ratunek.

Straszny wypadek zdarzył się w kopalniach węgla St. Johann (pod Saarbrücken). Dnia 18 b. m., skutkiem wybuchu gazów, 200 robotników zginęło w zawalonych szybach.

Przeciw kobietom. Studenci medycyny na uniwersytecie berneńskim w Szwajcaryi postanowili prosić rząd o zmianę ustawy uniwersyteckiej w takim duchu, aby na wydział lekarski przyjmowani byli tylko studenci, którzy złożą świadectwo dojrzałości szwajcarskie albo zagraniczne, uznane za równoznaczne. Środek wymierzony jest przeciw uczęszczającym na uniwersytet berneński kobietom. Całkowitego wyłączenia ich z uniwersytetu studenci nie żądają, ale chcą, aby w klinikach nie pracowali razem z kobietami. Komitet, zajmujący się tą sprawą, wezwał uniwersytety genewski i zurychski do wspólnego działania. Studenci grożą, że w razie nieuczynienia zadość ich żądaniom, przeniosą się do uniwersytetu bazylejskiego.

Niestety, nie jest to ani nowe, ani mądre.

Zbawiona tytułem. Ponieważ w wystawie kucharskiej nie przyjął udziału żaden kucharz, więc w ostatniej chwili nazwano ją *gospodarsko-spożywczą*. Mimo to ściąga ona tłumy, jak żadna inna. Nie, środkowe dzwono naszego ciała nie przestało jeszcze u nas panować nad wyższem.

Uniwersytet warszawski obchodzić będzie uroczystość św. Cyryla i Metodego osobnym aktem, podczas którego profesorowie uniwersytetu wypowiedzą mowy o działalności św. Metodego, o losach słowiańskiego języka, a nadto odśpiewane zostaną hymny kościelne, zachowane u czechów od czasu działalności śś. Cyryla i Metodego aż do chwili obecnej.

W procesie o sztuczne wylęganie kurcząt, sąd oddalił pretensye obu stron: pani Hajdatel i p. Płotnickiego. Tak się zakończyła sława głośnego inkubatora, po którym pewna część naszej prasy obiecywała sobie tyle... kurcząt.

Żywe obrazy urządzono w Teatrze na dochód gmachu Towarzystwa zachęty szt. pięknych.

Towarzystwo przemysłu i handlu zajmowało się dwoma wnioskami: prof. Przystańskiego o ujednostajnieniu toru wszystkich wozów, bryczek, karet itd. (który dziś ustanowiony dowolnie psuje drogi) i zobowiązaniu kołodziejów do trzymania się stałej miary; p. F. Olszewskiego o rewizyi taryfy celnej i ocleniu przetworów fabrycznych niemieckich w zamian za podatek nałożony na nasze produkty rolne. Oba wnioski przyjęto.

Shocking! W rodzinie hr. Potockich wybuchło starcie, które przeszło do sądu: p. Eustachy Potocki wytoczył proces bratu Augustowi, żądając obalenia podziału majątku po ojcu i sporządzenia nowego. Między ludźmi, którzy nie posiadają wielkich dóbr i milionów, są to rzeczy zwykłe, ale...

Wędrowiec, który od pewnego czasu z wyraźnym a niezbyt szczęśliwie spełnianym zamiarem reformatorstwa uprawia krytykę wydziwiania, wywołał ostre odparcia sekciarstwem nacechowanych artykułów p. W. *Gazeta warszawska* zamieściła bardzo dobrze napisaną przez p. B. Łaszczyńskiego replikę, a *Kuryer codzienny* zastosował przeciw p. W. wiersz Zabłockiego:

W takim razie najlepiej jest iść na wytrwanie;
Nabzdurzy się, nabzdurzy, nareszcie przestanie.

Bibliografia polska. F. Schiller *Dzieła* zeszyty 27 i 28, Lwów, Altenberg.

— Th. Ribot *Dziedziczność psychologiczna* tłom. S. Bartoszewicz, Warszawa.

Rzymski grób, zawierający rozmaite ciekawe drobiazgi, odkryto przy budowie kolei St. Poelten-Tulln w Austryi dolnej.

Malarz lwowski p. Rajchan otrzymał od wydawcy paryskiego Quentina zaproszenie, ażeby się podjął ilustrowania dzieł Feuilleta i Daudeta.

Muzeum narodowe otrzymało w ostatnich czasach cały szereg darów, z których najważniejsze wymieniamy: *Poddanie się Sielunia* wraz z Smoleńskiem Zygmuntowi III—obraz współczesny, dar hr. Izabelli Starzyńskiej; *Uwolnienie Kościuszki przez Pawła I*, obraz olejny z początku b. wieku, dar J. Wyleżyńskiego; fragment rzeźby ornamentacyjnej z początku XVI wieku, ze szkoły Bart. Berecciego, dar A. Trembeckiego, kilkanaście sztychów i litografij polskich, dar Ł. Biechońskiego i w. i. Zarząd Muzeum nabył obraz Bakałowicza *Uczta z epoki renesansu* i polskie portrety. ks. A. Brygurskiego, biskupa Sołtyka, Hugona Kołłątaja, Augusta III i żony jego Maryi Józefy.

Zmarli. Ludwik Gatineau, głośny adwokat i deputowany, który niedawno bronił wobec sądu pani Clovis Hugues, w Paryżu.

— Ks. Józef Jałowiecki, uczony teolog i etnograf, w Krasławiu nad Dźwiną. Prace jego ukazywały się przeważnie w rocznikach krakowskiej Akademii.

— Juliusz Schindler, b. deputowany do austr. Rady państwa i utalentowany pisarz niemiecki, znany pod pseudonimem *Julius von der Traun*—w Wiedniu.

— Curtius Lampson, założyciel pierwszego podmorskiego telegrafu, w Londynie.

— Dr. Władysław Niegolewski, b. poseł na sejm pruski i do parlamentu niemieckiego, dnia 19 marca w Poznaniu. Urodzony w roku 1819 w Niegolewie. Wybrany z powiatu Pleszowskiego posłem na sejm berliński, należał do najczynniejszych członków ówczesnego parlamentu. Później kilkakrotnie jeszcze zasiadał na krześle poselskiem, w latach 1859 do 1861 i od 1867 aż do 1881, a odznaczał się na tem stanowisku nieustraszoną obroną praw narodowości polskiej w Poznańskiem; wybitne zwłaszcza były jego wystąpienia przeciwko Baerensprungowi, dyrektorowi policyi, przyczem wykrył haniebne machinacye policyi. Podczas ostatnich wyborów niepotrzebnie dał swe nazwisko na szyld spółce warcholskiej prowadzonej przez *Goniec wielkopolski.* Napaści i łajania sprowadziły nań chorobę, z której już się nie podniósł.

— Gabryel Szmajdel Krasuski, b. żołnierz polski, artysta-rzeźbiarz we Lwowie.

— Dr. Tomasz Rayski, jeden z najstarszych adwokatów lwowskich, poseł do rady państwa, dnia 21 b. m. we Wiedniu. Rówieśnik Smolki, wraz z nim i Ziemiałkowskim skazany na śmierć a następnie w r. 1846 ułaskawiony, brał gorący udział w pracy dla dobra kraju przez lat blisko 50. Po zaprowadzeniu konstytucyi należał do wszystkich publicznych instytucyj we Lwowie, jako mąż zaufania, i kierował pierwszymi wyborami do sejmu. W Radzie państwa, jako serdeczny przyjaciel osobisty i polityczny Hausnera, należał do szczupłej garstki antistańczykowskiej i wytrwał przy jej sztandarze do końca. W czasie jubileuszu listopadowego w r. 1880 zajął się pracą około wydawnictw pamiątkowych, które też jego zasługą ujrzały światło dzienne.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Dr. K. Moniuszko. Z tutejszych *Gazeta lekarska*, która Pana objaśni najlepiej co do warunków konkursu. Brandes rs. 1 kop. 50, Ribot rs. 1 kop. 80, numery 11 i 31 kop. 44, przesyłka książek kop. 26. Nieotrzymane, chociaż posłane przez nas numery posyłamy powtórnie.

W. Bedn. w Leb. Szkoda, że list pański odebraliśmy już po przedrukowaniu tych arkuszy. Może jednak zdołamy zbywające znaleść.

Bolesł. Pawł. w Tel. Nie, gdyż przedruk stosujemy do wymagań kompletu.

Dr. Kondr. Nr. 10 wysłaliśmy powtórnie.

OFIARY.

Dla uczniów. Ochocki zebrane w kółku znajomych rs. 3.

Dla studentów. A. H. rs. 8.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek kwartalny, zawierający arkusze 13—18 **Ekonomii politycznej**.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Марта 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.